Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
literatura.net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

Manuela Gretkowska

Namiętnik

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

SANDRA K.

Po co tak męczyć starca? I to w święta! Lepiej podłożyć mu pod opadającą brodę śliniaczek, zdjąć tiarę. Łysy, różowiutki, pochrapuje. Sama już dawno poszłabym spać, gdyby nie film z Marilyn Monroe po pasterce.

A lulajże, papieżuniu, lulaj. Jezu, jakie bogole stoją przy ołtarzu! Na czarno, elegancko. Dyplomaci. Jedna ma takie długie, złote kolczyki, jakby jej z uszu ropa ciekła.

Muszę zmienić pamiętnik. Kupię nowy zeszyt z czerpanego papieru, zamiast długopisu pióro. Życie powinno być odręczne, autentyczne – żadną fotokopią cudzych marzeń. Wyślę go na konkurs *Pamiętnik urody*, do mojego ulubionego pisma.

*

Powinnam ususzyć kwiaty ze ślubnego bukietu, ale go nie łapałam. Elka kwiatami zasłaniała brzuch, chociaż biała suknia i tak poszerza. Mam czas, 24 lata. Przede mną 26 lat do klimakterium. Dobrze zarabiam, pracuję z interesującymi ludźmi, zresztą w reklamie jest zawsze ciekawie. I dwa lata temu zostałam w Kielcach miss regionu. Potrafię jednak być skromna. Zauważył to na ślubie kuzyn Elki – reżyser. – Jaka piękna i skromna, zbyt piękne – powiedział. Chciał się umówić, niby ma dla mnie rolę. Szuka ślicznej amatorki.

– Amatorki czego? – zapytałam, bo podejrzewałam, że seksu. Wiadomo, filmowcy. Profesjonalistki kosztują. Chłopak się speszył, wygląda na maturzystę. Polański też wyglądał na chłopaczka, nawet po czterdziestce. To dobry znak. Wziął mój adres, żeby przesłać scenariusz. Siostra Ewki się upiła i wszystkich zanudzała: – Kim była Rachela i święte niewiasty, które trzeba naśladować? – (Ksiądz przy ślubie o tym mówił.) Jak robiły to święte niewiasty? One w ogóle to robiły? – dopytywała się.

Ma na szyi zmarszczkę, jak gwint, zaciskający gardło. Do tego natłuszczonego gwinta przyśrubowana jest obrotowa głowa z wścibskimi oczkami. Szybko wróciłam do domu. Wolę się wyspać i wyglądać przytomnie, a nie podkrążone oczy i wymięta twarz po balandze do rana.

Moja matka lubiła nocne życie. Nie ma sześćdziesiątki i jest staruszką. Oczywiście, choroba postarza. Mieszka w dobrym domu opieki. Idzie na to cała wojskowa renta po ojcu, brat przysyła trochę z Niemiec. Kiedy zrobiłam maturę w ekonomiku, chciał, żebym przyjechała do niego do Berlina. Zostawiła go żona i ze złości nazwał swój grill-bar jej imieniem: Mariola. Miałam sprzedawać. – Założymy rodzinne imperium – obiecywał. Wolałam zrobić szkołę dla sekretarek, potem może pójdę na studia. On, zanim się zdecydowałam, miał już nową żonę – kasjerkę. Ja się też dokładam do mamy, zwłaszcza teraz na święta. Byłam u niej w Kielcach z koszem owoców i słodyczy. Kosze dla personelu, razem z 1000 złotych. Mama, odklejając językiem krówki od zębów, pytała w kółko: – To w tym roku też będzie Boże Narodzenie? No popatrz, nie spodziewałam się!.

W pociągu do Warszawy, zamiast stukotu kół, słyszałam ciągle: – No popatrz, nie spodziewałam się.

*

Miałam pisać pamiętnik na konkurs. Zamiast o urodzie, będzie jednak o seksie.

Śmiech dodaje urody. Leżałam w Nowy Rok przy nagim, śpiącym Miszce (copywriter ode mnie z pracy) i zrozumiałam, że facet jest najmniej skomplikowanym urządzeniem do obsługi – zaledwie jedna dźwignia.

Miszka to nic poważnego, on zapada w romans jak w śpiączkę. Coś mamrocze, obiecuje, rano się budzi i nic nie pamięta. Zrobił mi zdjęcia i wysłał do „Playboya". Od znajomego z reklamy, pracującego w redakcji, wiem, że fotki się podobały. Figura w porządku, nie pasowało im coś z twarzą. – Nie w typie „Playboya", za inteligentna – pocieszał mnie Miszka. Gdyby chcieli nie całkiem rozbierane zdjęcia, czemu nie? Ciało kobiece jest piękne. Dorobiłabym do pensji, co kwartał płacę więcej za czynsz. Znalazłam wygodną kawalerkę w centrum, na Muranowie. Właściciel zjawia się tylko po forsę, nie wtrąca się. Bierze w progu kopertę, przelicza i znika. Modelki zarabiają majątek.

Dzwonił dzisiaj reżyser z życzeniami. Wysłał scenariusz i czeka na moją odpowiedź. Niezależny, ambitny film o młodych. Pasuję mu osobowością.

– Przejrzałem twoją naturę. Na zewnątrz prostota, wdzięk. W środku haj i temperament tornado. – Nie wiem, czy przejrzał. Coś dojrzał.

*

Lunch z copywriterami. Oni myśleli, że byłam nówka i Miszka mnie rozdziewiczył. Wcześniej nie zauważyłam, że z tego palanta wycieka palantyna. Siedzieliśmy w nowej, modnej knajpie. Drewniane stoły, nieheblowana podłoga, nic na ścianach. Podobało mi się. Powinnam urządzić podobnie mieszkanie. Zdjąć te cholerne obrazki po właścicielu.

Ładnie wyglądaliśmy. Trzech przystojnych, młodych facetów. Włosy na żel, super garnitury, szelki, i ja wysoka, subtelna blondynka w mini od Deni Clair. Rozmawialiśmy, czym jest prawdziwa miłość. Jeden z copywriterów (żonaty) powiedział: „Ślub". Dla Miszki – multiorgazm. A dla mnie? Chyba spanie w makijażu. Budzimy się nad ranem, zaczynamy się kochać przy delikatnym świetle, a ja mam piękną, zadbaną twarz. Nie powiedziałam tego. Zbyłam ich zdaniem z mojego czasopisma: „Nie ma miłości, są tylko dowody miłości".

Wszyscy już wiedzą o „Playboyu" i gapią się na mnie, jak na rozkładówkę. Fajnie byłoby zagrać w filmie i mieć zdjęcia w „Playboyu". Wspominaliby, że kiedyś byłam sekretarką w ich firmie, i każdy mógł ze mną pogadać, poprosić o herbatę.

30 do Alzheimera i lada dzień AIDS. Trzeba umieć żyć i wiedzieć, czego się chce.

*

Nie mam na nic czasu. Wracam z roboty o 21–22 i padam spać. Nie oglądam nawet telewizji. Włączam i zasypiam. Czuję się wtedy spokojniej, jakby ktoś był w pokoju i czuwał przy mnie. Tak przy moim łóżku siedział dziadek. Czekał, kiedy zasnę.

Młyn będzie jeszcze miesiąc. Trzy kampanie naraz: soki, podpaski, samochody. Na dodatek w takie zwariowane dni ściągają do firmy szaleńcy. Przyszedł wynalazca „suchej karmy dla kobiet". Godzinę przekonywałam go na recepcji, żeby sobie poszedł, najlepiej do biura patentowego.

*

Straszne. Straszne. Kontrowersyjne. Mdli mnie z nerwów. Myślałam, że zagram elegancką biznesmenkę albo modelkę. Przecież to psychopatki. W każdej scenie przekleństwa i świństwa. Szczytem jest rajd bohaterek po Warszawie kradzionym autem. Miałabym zagrać Ankę – tę długowłosą maturzystkę, która po nieszczęśliwej miłości wynosi się za granicę na studia.

Reżyserek myśli, że zabawi się moim kosztem, bo jestem „naiwną sekretarką". Ale żeby tu być, musiałam być mądrzejsza od setek dziewczyn, marzących o karierze w Warszawie. Czemu nie mam przyjaciółki albo chłopaka? Mogłabym się wypłakać, wygadać. Co z tego, że wszyscy mnie lubią? Muszę się z kimś zaprzyjaźnić, nie z facetami z pracy. Dla nich jestem

„fajną dupą” i po tym z Miszką chcą się umawiać, wiadomo po co. Miszka pojechał na urlop do Tajlandii, niby sam. W Warszawie ludzie się znają i mówią, że pojechał z modelką, reklamująca czekoladę. Elka po ślubie zbzikowała, ciągle gada o domu i porodzie.

*

Z nerwów zaczęła mi się psuć cera. Wypryski, trądzik (?!). Byłam na oczyszczeniu u kosmetyczki. Kupiłam nowy krem Estée Lauder na mleku i jeszcze jeden, potwornie drogi, z placenty. Placenta jest łożyskiem. Nie wiem: zwierząt? Ludzi? Trochę pomogło.

*

Muszę do dermatologa. Najlepszy, kryjący make-up już nie pomaga. Robiłam raz na tydzień piling, dwa razy maseczkę nawilżającą i nadal mam wysypkę. Krosty działają chyba jak przyciski: wcisnę jedną – wyskakuje druga.

Boli mnie głowa. Podobno winna jest klimatyzacja. Zatyka się milionami zarazków. Czytałam o piciu wody mineralnej, minimum trzy litry dziennie. Dzięki niej modelki mają dziecięco delikatną skórę. Modelki mają dużo wolnego czasu i z podium mogą pobiec prosto do toalety. Chodzą przecież na pokazach szybkim krokiem spieszącego się do kibla. Ja nie mogę biegać co kwadrans na siku. Nie mogę też dowadniać się w weekendy – pracujemy teraz w soboty i niedziele do południa.

Na dworze mróz, w domu kaloryfery. Kupiłam nawilżacz. Nie pasuje do parkietu i japońskiego łóżka (szafy są schowane w ścianę): no problem, nikogo do siebie nie zapraszam.

*

W życiu bywa na przekór. Nikogo nie zapraszam, więc wpakował się nocą, bez uprzedzenia, reżyser. Ledwo co zdążyłam zmyć maseczkę quick-lifting. Nie zdjął butów, usiadł na podłodze w przedpokoju. Od razu wyczuł mój brak entuzjazmu.

– Po pierwsze, nie wiem, czy zdobędę forsę na film. Po drugie, czy przejdziesz przez zdjęcia próbne – powiedział na dzień dobry. Dla niego, skoro nie jestem z Warszawy, jestem ze wsi. Wygarnęłam mu, co myślę o wulgarnym scenariuszu. Śmiał się. Zdjął ze ściany przy drzwiach reprodukcję „Damy z łasiczką” (obrazek właściciela).

– A to lubisz? – nabijał się ze mnie.

– To dzieło sztuki.

– Zamaluj łasiczce pysk, a zobaczysz, że ta bladawica trzyma w rękach członek. Pieści go palcami, nie widzisz tego? Seks jest zwierzęcy.

Nie chciałam zostawać z nim w domu. Poszliśmy do Między Nami. On jest pojebus, mimo to go lubię. Może ma rację, i film będzie hitem. A może jest homoseksualistą, w ogóle mnie nie podrywał. Patrzył i gadał bzdury.

*

Z jednym lepiej (film), z drugim gorzej. Dermatolog stwierdziła: „Cera tłusta, wręcz łojotokowa. Stres, zła przemiana materii”.

Podejrzewałam się o mieszaną, ale aż łojotokowa? Co prawda, ostatnio nie pomagało oczyszczanie u kosmetyczki. Tydzień po zabiegu miałam znowu zaskórniki na nosie. Ich wyciskanie było wyciąganiem robaków spod skóry. Żółte, śliskie glizdy, wijące się mi na paznokciu.

Nie widziałam równie zadbanej lekarki. Wyglądała na wyleczoną ze wszelkich chorób, w tym również zmarszczek. Kazała kupić nowe kosmetyki, przemywać twarz rano i wieczorem

ciepłą wodą ze specjalnym mydłem. Dotychczas myłam się tylko tonikiem i mleczkiem, według porad z mego pisma. Zapakowałam stare kremy, maseczki, mleczka (do cery suchej i wrażliwej), będzie tego z kilogram. Oddam je Elce. Powinna dbać o siebie w ciąży.

*

Elka ucieszyła się z prezentu, chociaż bardziej ją teraz interesuje krem na rozstępy. Wklepuje mazidło w brzuch rano i wieczorem. Nie zamierza się prześwietlić, żeby poznać płeć dziecka. Cokolwiek się urodzi, będzie kochane.

– Labrador też? – zapytałam złośliwie.

– Co labrador?

– No, jak ci się urodzi labrador zamiast dziecka, bo nie robiłaś badań prenatalnych.

Prawie się obraziła. Kobiety w ciąży zyskują na wadze, tracąc na rozumie. We wszystkich pismach radzą badać się wtedy co miesiąc.

W salonie Diora nie chcieli podać, z czego jest zrobiona maseczka do tłustej cery. „Tajemnica receptury" – powiedziała wyfiokowana sprzedawczyni. Przecież mogę być uczulona na jakiś składnik. Wydać 200 złotych na alergię? Czytam zawsze uważnie skład. Byłam dobra z chemii. Bez problemu rozumiem: gliceryniany sodu, acidy, propyle. Najgorsze są różne NK-5, K-8... pseudonimy agentów urody? Nazwy tajnych broni, zwalczających starość?

*

Łatwo im żartować. Nigdy nie mieli okresu. Nie zwijali się w mękach, nie mdleli z bólu. Podśmiewują się, układając hasła o podpaskach. Przypinają do tablicy ogłoszeń głupawe teksty: „Prędzej zaschnie ci w strupa, niż przemoknie w nich dupa".

Na początku pracy imponowali mi. W porównaniu z reżyserem są chłystkami. (Nie chcę pisać jego nazwiska, jest osobą publiczną.) On dostrzegł we mnie talent poetycki. Lubi słuchać, gdy opowiadam. – Masz takie zaskakujące porównania. Powinnaś się rozwijać, studiować.

Dużo przeżył, doświadczył. W tym świecie ma 32 lata. W swoim, w którym naprawdę żyje – świecie sztuki, jest dużo starszy. Widzi inaczej, ciekawiej. Na przykład historia z Elą. Byłam w panice. On natomiast zachwycił się jej wyobraźnią. Siedział u mnie, kiedy zadzwoniła (mąż Elki pracuje z nim przy reklamach, jest oświetleniowcem). Chcieli ją zabrać do szpitala. Dostała psychozy przedporodowej.

– Wiesz, czemu nie zrobiłam badań prenatalnych? – szlochała. – Bo nie potrzebuję, nie potrzebuję.

– Eluniu, uspokój się. Jest ze mną twój kuzyn. Chcesz, żebyśmy przyjechali?

– Przestałam smarować się kremem na rozstępy – płakała. – Przetarł mi skórę i widziałam na brzuchu zielone oczy. Ważniejszy jest kolor oczu od tego, jakiej jest płci.

Gryzą mnie wyrzuty sumienia, czy to nie przez moje żarty Ela świruje. Żal mi jej. Zawsze była wrażliwa. Niedługo urodzi i wyzdrowieje. Opowiadała, że gdy przychodzę w odwiedziny, jest wesoło jak dawniej, kiedy chodziłyśmy razem do szkoły, dziecko porusza się i kopie z radości.

*

Wszyscy spięci i się awanturują. Szefowa wzywa dyrektorów po kolei do gabinetu i straszy terminami. Z nerwów schudła więcej niż na obozie kondycyjnym w Kalifornii. Po powrocie nadal była gruba. Pasek, zamiast podkreślać talię, wpijał się niby uszczelka, żeby biust nie przelał się w fałdy brzucha.

Długo tu nie popracuję. Jestem znakomicie wykwalifikowana. Znajoma zwalnia miejsce w moim ulubionym piśmie. Zdała do szkoły dla stewardes i mnie poleciła. Niewiele większa

pensja, ale bez nerwówki, pretensji. Byłam u niej w redakcji – już w windzie pachnie perfumami. Personelowi dają kosmetyki na spróbowanie i stylistki radzą, w co się ubrać. Jedyny minus – pracując tam, nie będę mogła zgłosić mojego pamiętnika na konkurs. Pierwsza nagroda: tydzień w Paryżu, zakupy, fryzjer – za darmo. A może zagram w filmie?

*

Znowu sama wieczorem w domu. Nikt nie dzwoni. I dobrze. Wymoczyłam obolałe stopy. Pierwszy dzień w nowych, zamszowych pantoflach na szpilce. Grafik z copywriterem stanęli przy recepcji i niby od niechcenia żartowali: „Po co kobiecie inteligencja? Żeby odróżnić modne buty od najmodniejszych".

Chciałabym zobaczyć kosmetyk z napisem: „Nie testowane na zwierzętach. Testowane na mężczyznach".

*

Ela urodziła chłopca. Śliczny. Bałam się zajrzeć mu w oczy – na szczęście chabrowe. Ona roześmiana, żadnej psychozy, normalna Elka. W szpitalu spotkałam reżysera. Balował z jej mężem. Był całkiem pijany, mówił o sobie „wujek". Zaprowadził mnie na korytarz pod okno i posadził na ławce. Uniósł mi twarz za brodę (gdybyśmy stali, patrzyłabym na kurdupla z góry). – Jesteś piękna, piękna i za młoda – chuchał mi wódą prosto w nos – twoja buzia jest za taflą czasu. Widać dopiero jej zarys. Kiedyś wyrysuje ci się na niej charakter, teraz jest obła. Niefilmowa.

Miałam rację – szajbus. Elka świrowała nie bez powodu, takie rzeczy są rodzinne. „Niefilmowa" – akurat. Dowiedziałam się później od Elki o jego nowej dziewczynie. Piosenkarka rockowa z nosem do brody i oczami narkomanki. Naćpana czarownica z dobrze narysowaną twarzą, przerysowana karykatura.

*

Dostałam podwyżkę. Firma wygrała przetarg na jogurt. Robi się cieplej, zmienię fryzurę i zaryzykuję depilację nóg woskiem – boli, za to nie odrasta przez trzy miesiące. Z nikim ostatnio nie sypiam, noszę grube rajtuzy, więc włoski sobie rosły. Wiosna! Nogi na wolność! W najnowszym numerze radzą zadbać o siebie już na początku marca. Zrobię według pisma.

Z braku słońca dostałam na prawym policzku syfa. Przed okresem brzydnę. Taktyka natury. Czytałam o tym. W dawnych czasach ludzie żyli w jaskiniach i wszyscy sypiali ze wszystkimi. Kobiety są zdolne do seksu cały miesiąc, lecz naturze chodzi o zapłodnienie, nie o przyjemność. Dlatego podczas jajeczkowania hormony czynią cuda: wydziela się podniecający zapach, oko błyszczy, włosy lśnią. Kiedy kobieta jest już niepłodna, przed okresem, wróżka natura zabiera jej dary i odstrasza zalotników, zamieniając w ociężałego, zapryszczonego, zirytowanego babona.

*

Tydzień zaczął się od szpitala i szpitalem kończy. Z mamą gorzej, dzwonił lekarz. Oczywiście, Alzheimer nie jest zarazą, jednak wracając od niej, byłam chora. Siedziałam na dworcu i trzęsłam się. Napatrzyłam się na książki u Elki i pewnie dlatego mama, skurczona w kłębek na łóżku, skojarzyła mi się z wielkim, poronionym płodem. Jest moją matką, była nią. Teraz przez chorobę zapomniała, kim jest, i ja też muszę zapomnieć. Moja mama więcej nie wróci, wyszła ze swojego ciała i zapomniała adresu. Nie mogę jej pomóc, najwyżej ulżyć, płacąc za dobra opiekę.

O mało nie zostałam na dworcu. W ostatniej chwili wsiadłam do ruszającego pociągu. Nie bałam się być sama w przedziale z facetem typu Schwarzenegger. Co mógłby mi zrobić? Zabić? Byłabym mu wdzięczna. Przeglądałam kolorowe pisma. Nic nie widziałam przez łzy. Tuż przed Warszawą zaczął zagadywać. Był bardzo miły. Lubimy te same filmy, te same talk-showy. Jest dobrze ustawiony – ma dwa warsztaty samochodowe. Jeden pod Warszawą, drugi z bratem w Kielcach. Od niego wracał. Ekspresem szybciej i bezpiecznej niż samochodem w wiosenną pluchę. Coś mi się zdaje, że Wojtek szuka żony. Umówiliśmy się w weekend na Starym Mieście.

*

Masakra. Pryszcz na policzku nie zaschnął po wyciśnięciu. Urósł i boli. Zalałam go spirytusem. Przywalony make-upem, udaje brodawkę.

Kolacja była przy świecach. Usiadłam nie na wprost, lecz obok. Prawy policzek znikał w cieniu (mam nadzieję). Wojtek cudowny. Nigdy bym nie powiedziała, że jest mechanikiem samochodowym. Szarmancki, dowcipny. Piękny, głęboki głos i najładniejsze męskie ręce, jakie widziałam. Odwiózł mnie srebrnym wozem. Stał przed drzwiami z głupią miną: wprosić się czy nie? Pocałował w czoło i się zaczerwienił. Zadzwonił nocą. Gadaliśmy do trzeciej nad ranem.

*

Przechodząc koło knajpki na Starówce, gdzie w sobotę jedliśmy kolację, wstąpiłam do salonu kosmetycznego „Fizis". Starsza kosmetyczka w wymiętym fartuchu mogłaby być salową w szpitalu u mamy. Dziwiła się, czemu życzę sobie depilować nogi woskiem. – Nie wie pani? To grozi odwapnieniem kości! – postraszyła mnie.

Nie wiedziałam.

– Zlikwidować wągra? – pokazała na policzek. Mimo make-upu widać syfa. Nie zgodziłam się na wyciskanie. W nim nie ma już ropy. Napuchł, gojąc się.

Byłyśmy same w gabinecie. Kosmetyczka wyjawiła sekret: – „Niech pani pomyśli. Jak przed wojną kobiety się depilowały?"

– ?

– Zapałką! Bierze pani zapałkę, opala włosy i smaruje maścią na oparzenia – termentiolem.

Pozbyła się mnie z gabinetu. Próbowałam, głupia, w domu opalić się zapałką. Skończyło się na poparzeniu łydki i skrobaniu pypci żyletką.

Z Wojtkiem lepiej, lepiej i... ciekawiej. Byliśmy w jego własnościowym mieszkaniu – trzy pokoje, przyjemne, czyste, chociaż widać brak kobiecej ręki. Odwiózł mnie rano do pracy. Po drodze spytał, czy pojechałabym z nim nową BMW-icą na Wielkanoc do... (pomyślałam: do... Kalwarii Zebrzydowskiej), do... (jąkał się z przejęcia, do... jego rodziców, czy co?), do... MONACHIUM, na wystawę samochodów. Wygadał się, że w pociągu ośmielił się do mnie odezwać z powodu tego nieszczęsnego pryszcza. „Skoro piękne kobiety mają zupełnie ludzkie dolegliwości..."

Nareszcie zawdzięczam coś pryszczowi. Sensownego kochanka.

*

Nie było rady: poszłam do lekarza. Dermatolog wypaliła syfa płynnym azotem. Zapisała maści. Zaproponowała piling chemiczny na odmłodzenie twarzy. Zabieg polega na zerwaniu zewnętrznej warstwy tkanek – innymi słowy, obdarcie ze skóry. Potem nie można wychodzić kilka dni z domu, łatwo załapać bakterie. Rewelacyjne wyniki. Zdecyduję się po powrocie z

Monachium. Nie jestem za młoda na piling. Skóra twarzy traci szybko kolagen. Po trzydziestce będzie za późno na delikatne korekty.

Spróbowałabym ujędrnić usta zastrzykiem albo wszyciem złotej nitki. Mam za wąskie wargi. Z wydętymi ustami i w długich włosach byłabym podobna do Liv Tyler.

*

Czekam na telefon od Wojtka. Waruję przy słuchawce jak pies przy kości. Kiedy w końcu dzwoni, pilnuję się, żeby nie piszczeć z radości.

*

Miszka w pracy coś kombinował. Odstawiłam go spokojnie i stanowczo. Nie obraził się. Pobiegł po kwiaty i wino: „Za przyjaźń intelektu z urodą!" – wymyślił toast. Zaraz pozłaziło się do jego pokoju pół biura. Byłabym dłużej, gdyby nie wróciła szefowa. Mówili ciekawe rzeczy. Anglik, pracujący dla firmy wydawniczej, przyniósł stare numery czasopism i projekty nowych. Miszka zwrócił uwagę na miny dziewczyn z okładek. Na początku lat siedemdziesiątych. niedomknięte usta, przymglone oczy, wyzywające pozy miały panienki z okładek soft-porno. Jeżeli takie są tendencje, to za dziesięć lat najszacowniejsze pisma kobiece będą miały okładki w stylu dzisiejszych pornosów. Czemu Miszka nie powiedział o tym, robiąc mi zdjęcia? Rozchyliłabym wargi, tego brakowało moim fotkom. Pełne, gotowe na wszystko usta dodają charakter, nie wulgarności.

*

Czuję się okropnie. Mam gorączkę. Wezmę wolne. Muszę wyzdrowieć przed Wielkanocą. Wojtek wyjechał do Kielc. Dobrze się złożyło, nie mogłabym się z nim spotykać – te pryszcze. Ginekolog doradziła tabletki antykoncepcyjne: mało hormonów, dużo korzyści. Cera się poprawi, wzmocnią włosy. Mnie już nic nie pomaga. Ostatnim ratunkiem jest dieta. To na pewno zła przemiana materii. Przestałam jeść czekoladę i tłuste mięso.

*

Wojtek martwi się, zamiast podziwiać moją silną wolę. „Coś zmizerniałaś, chucherko". Nareszcie dochodzę do swojej normalnej wagi. 52 kilo. Tyle ważyłam na wyborach miss Kielc. Pryszcze zniknęły. Chyba nie mogę być gruba: tłuszcz odkłada mi się wtedy w wągrach i przez nie wycieka. Jem teraz wyłącznie owoce i warzywa. Żadnego alkoholu, zup, białego pieczywa, klusek. Zapisałam się na basen w hotelu Victoria. Bardzo drogo, płaci się za elegancję. Windą na samo dno hotelu. Sztuczne palmy, ciemno jak w night clubie. Solarium, zawsze wolne maszyny do ćwiczeń. Woda zimna, ale tym facetom – morświnom z wąsami i sadłem na brzuchu – nie przeszkadza. Znam ich z telewizji: politycy. Nie interesuję się polityką, oni mną też. Wchodzą do wody, przepłyną w tę i nazad i wychodzą „zrelaksowani", czyli mokrzy. Drinkują przy basenie. Robię dwadzieścia długości tego basenu rozmiarów bajorka.

*

– Zdrowa skóra i kości – narzeka Wojtek. Nie mam dla niego czasu. Praca i ćwiczenia. On też zajęty w warsztacie.

*

Niezła jestem. Oczytałam się w literaturze i sam czyjś widok wystarczy, żebym powiedziała: „Brakuje ci witaminy C albo żelaza". Na zmęczenie magnez. Miszce wypadają włosy. Poradziłam mu B z kompleksami od 1 do dwunastu. Też mi kłaki wychodziły garściami po myciu. Pomogła duża dawka witaminy B i krzemu.

Pokłóciłam się z Wojtkiem we włoskiej restauracji. Bez pytania zamówił *ossobuco* – gicz. „Ulubiona potrawa mafiosów. Nie znasz? Na amerykańskich filmach chłopaki z Sycylii wołają: *Ossobuco* według przepisu *mammy*!" Nie chciałam tłuszczu, kalorii, deseru. Siedzieliśmy naburmuszeni. Miły wieczór. Wojtek purpurowy, międ lił papierosa i przezywał od dziwaczek. Zmusiłam się zjeść mięso, potem krem. Odwiózł mnie do domu. Buzi, pa! Wracaj do siebie! – pożegnałam go. Natychmiast wzięłam laxigen na przeczyszczenie. Tyle obrzydliwości miałoby zalegać we mnie do rana?

*

Między mną i Wojtkiem zepsuło się. Nie mam ochoty na seks. Nie żebym go nie kochała, albo czuła niechęć. Po prostu nie myślę o seksie. Nie podnieca mnie nawet prysznic, obmywający ciepło dziurkę. Dawniej wystarczyła chwila i pławiłam się w rozkoszy, oblewając wodą różowy guziczek. Są takie momenty w życiu, gdy seks przestaje istnieć. Był o tym artykuł. Zmiany hormonalne? Spóźnia mi się okres... a jeśli to ciąża?

*

Ginekolog wykluczył ciążę. Przepisał przysadkę królika do wąchania. Pobudza hormony. Lekarz nudził: „Proszę więcej jeść!" Straszył anoreksją. Anorektyczki zmuszają się do niejedzenia. Ja jem, tyle że racjonalnie. Dietą wyleczyłam się z zaburzeń skórnych, bólów głowy. Dymię energią. Chodzę na basen. Wpracy nie czuję zmęczenia. Nigdy nie byłam tak zdrowa.

*

Nie pojedziemy z Wojtkiem do Monachium. Przeczuwałam. Coraz więcej moich przeczuć się spełnia. Wychodzę z domu i myślę: „Spotkam Elkę" (niemożliwe: mieszka pod Warszawą) – i spotykam. Zgaduję: „Następny autobus będzie 175" – i przyjeżdża. Wojtek ma dodatkową robotę w Kielcach. Musi pracować za dwóch, brat zachorował. Traktuję to na spokojnie. Kocha – będziemy razem, nie – bez tragedii.

Moje życie jest wspaniałe. Takie lekkie, bez problemów. Wyrzuciłam stare meble. Zostało japońskie łóżko i kwiaty. W kuchni stół, jedno krzesło. W szafkach czysto. Żadnych tłuszczów, kalorii. Świeże owoce, soja, serek. Dziesięć deko soi zawiera więcej białka niż zupa z drugim daniem i deserem. Przy moim wzroście powinnam ważyć 55 kilogramów. Jestem drobnokoścista, więc 48 kilo to w sam raz. Nie zaszkodzi zjechać do 45 – kilka nieostrożnych chapnięć i jesteśmy przy pięćdziesięciu. Znalazłam świetną książkę: *Leczenie głodówką*. Przez tydzień słodzona woda, i człowiek jest czysty, nowo narodzony. Muszę zlikwidować ostatnią fałdę tłuszczu na brzuchu. Pojawia się, gdy robiąc skłon dotykam rękoma podłogi. Nadal nie mam okresu. Nie martwię się tym. Czułam się jak szmata, nasiąkająca krwią. Co miesiąc wykręcało mnie w bólach, wyżymało krew.

*

Na basenie lodowata woda. Nie wchodzę na dłużej niż kwadrans, trzęsie mnie. Przesiaduję w barku, popijając mineralną. Dwóch tłustych w szlafrokach dyskutowało o zmianie rządu. Czy prezydent rozwali koalicję? Zanim wysuszyłam butelkę, wiedziałam, że dojdzie do tajnego porozumienia z szefem opozycji. Zakrztusiłam się z wrażenia. Skąd takie myśli?

*

Czuję się wypożyczona fizjologii. Muszę odżywiać ciało, nosić je ze sobą, gdy w środku czuję się kimś innym. Niecielesnym.

W pracy copywriter wziął ode mnie gazetę: – Sama nie dasz rady, za ciężka. Trzepnęłam go gazetą przez ucho. Oblał się wodą z dzbanka do herbaty. Krople nie spadły jeszcze na podłogę, kiedy powiedziałam: – Gonitwę wygra nakrapiana klacz.

Chłopak zdziwił się: – Od kiedy znasz się na koniach?.

– Na jakich koniach? – nie rozumiałam, o co mu chodzi.

– Widziałaś, że zajrzałem w gazecie do działu sportowego, żeby obstawić konie na jutro.

– Nic nie widziałam, ja wiem.

Ciekawe, czy miałam rację. Prezydent dogadał się z szefem opozycji i wybuchł skandal. Przewidziałam to tydzień temu.

Do domu wracałam autobusem. Ludzie przyglądali mi się: z ciekawością? Podziwem? Jestem dobrze ubrana, w drogie, markowe ciuchy. Twarz zadbana, delikatna, czysta cera bez wyprysków. Dbam o linię. Na pewno nie wyglądam na przeciętną dziewczynę. Starszy pan ustąpił mi miejsca, dżentelmen.

*

Od środka wbił się we mnie sztylet. Rozdzierał wnętrzności. Połknęłam ze dwa laxigeny i dopiero wtedy puściło. Soja wcale nie jest lekkostrawna. Jadłam ją tylko dla białka. Po tych kurczach przechodzi już ochota na jedzenie. W pierwsze dni głodówek trochę mną telepie i jestem osłabiona. Trzeciego, czwartego dnia przyjemna swoboda. Prędkość myślenia, lekkość ruchów. Czy mógłby mnie zabić zatwardzony stolec? Rozszarpać jelita i dostać się do otrzewnej? Niekiedy czuję, że miesza się z krwią. Z czerwonej staje się fusowata i śmierdzi ode mnie. Przywidzenia, oczywiście.

*

Cały dzień oblegali mnie w pracy. „Skąd wiedziałaś, że wygra? Masz wtyki na Służewcu? Powiedz, na co postawić!" Tłok koło stolika, że oddychać nie miałam czym. Wyszliśmy z Miszką na korytarz.

– Po starej znajomości: powiedz, co jest grane? – przytulił mnie.

– Przychodzi na mnie czasem taka pewność – powiedziałam szczerze (no, bo jak inaczej to opisać). – Wiem wtedy rzeczy, o których nie mam pojęcia.

– Jesteś medium? Zapisałaś się do sekty i cię głodzą, żebyś miała lepsze wyniki?

– Nie jestem zagłodzona. Dbam o dietę. To ty należysz do sekty: reklamowców – wyrwałam mu się i wróciłam na recepcję. Wieczorem, wychodząc z roboty, zaszłam do jego pokoju. Siedział nad projektem oferty dla klienta.

– Miszka, zgaś światło i wracaj do domu. Wyśpij się. Z twojej pracy nic nie będzie. Facet splajtuje – mówiłam prawdę. Przynajmniej tak mi się wydawało. Mówienie prawdy daje spokojną pewność. Jest obowiązkiem uczciwych ludzi.

– Mhm – Miszka nie wierzył.

*

Szefowa wróciła z urlopu. Byłam pierwszą osobą, na którą trafiła. Otworzyły się drzwi windy i wyszła pachnąca, obrzmiała. Cofnęło ją na mój widok. Zmieniłam się przez ten miesiąc. Nie tak bardzo, jak chciałam, ale bliżej ideału.

Zostałam do niej wezwana po południu. W pokoju siedział już Miszka. Szefowa zaproponowała, żebym przeszła od jutra na recepcję wewnętrzną, do pokoju na zapleczu. Będę przyjmować wyjątkowo ważnych gości. Innymi słowy – awans. Zgodziłam się. Zamówiłam tak-

sówkę do domu. Ludzie w autobusach gapią się na mnie. Wieczorem dzwonił Miszka. Pytał, czy dobrze się czuję. Ciekawiły go moje przeczucia co do jego akcji na giełdzie: sprzedać? Dokupić? Nie miałam żadnych przeczuć. Złościł się, że nie chcę mu pomóc. – Dzięki moim prośbom nie wyleciałaś z pracy – przechwalał się. Mówił, że szefowa chciała mnie natychmiast zwolnić. Recepcja jest wizytówką firmy. Podobno mój wygląd odstrasza klientów.

Za chuda? Patrzę w lustro i widzę dwie pyzy zamiast wystających kości policzkowych. Zazdrosna baba. Nic dziwnego, przy mojej figurze przypomina fokę. Zrobiło mi się niedobrze. Nie biorę już żadnych leków, witamin, świństw. Przeszłam na terapię naturalną. Poprawiam sobie humor, łykając własne hormony. Kiedy jest mi bardzo wesoło, pluję do buteleczki. Przechowuję ją w zamrażalniku. Zdepresjonowana, rozcieńczam to wodą i łykam. Pomaga od razu. W ślinie jest serotonina – naturalny środek euforyzujący. Ślina jest sycąca. Łyżeczka z cukrem starcza na cały dzień. Ważę 40 kilogramów. Im jestem szczuplejsza, tym lepiej się czuję. Oblewa mnie fala szczęścia. W głowie rozbłyskuje światło, widzę kolorowe, trójwymiarowe obrazy. Świat znika.

*

W pracy mam własny pokój. Na końcu korytarza, cichy, przytulny. Przylega do niego toaleta tylko na mój użytek. Litry francuskiej wody mineralnej w codziennie zmienianym pojemniku. Szefowa przychodzi przed południem. Gawędzimy, podsuwa gazetę i prosi o moją opinię. Rysuję strzałki w górę albo w dół przy notowaniach giełdowych. To takie proste. Do wyboru trzy możliwości: hossa, bessa, marazm. Niekiedy gazetowe zdjęcia się ruszają i widzę, co będzie dalej. Generał, ściskając dłoń prezydenta, szykuje na niego zamach. Uśmiechnięty minister skoczy z okna. Jeśli nic nie przychodzi mi do głowy, wsłuchuję się w słowa. Robotnicy kuli ścianę w biurze obok. Sypał się tynk. To słowo brzmi właśnie tak, jakby miało zaraz odpaść. Tynk, tynk.

*

Lubię siedzieć w toalecie i sikać. Wsłuchiwać się w strumień, wysokość dźwięku. Zestrajać go z odgłosami gazów. Symfonia ciała. Wymyśliłam intymną kolekcję. Sikam do foremek na lód. Wkładam tam piórko, słomkę, patyczek, muchę. Zamrażam i mam bursztyny z zatopionymi śladami życia, okruchami przeszłości.

*

Zostałam do prawie czwartej nad ranem w biurze. Copywriterzy prosili o pomoc. Jutro oddają projekty. Miszka zaproponował mi zostawanie na noc w gabinecie. Sprowadzą łóżko, szafy. Lustro ma być na całą ścianę. W pokoju obok skończono remont, zainstalowano wannę i małe jacuzzi. Nie będę płaciła czynszu. Zaoszczędzę 300 dolarów miesięcznie. Kupię większy telewizor i kosmetyki nowej generacji z szyszynki płodu owcy. Zgodziłam się od razu.

*

Zadzwoniła Ela. Prosiła o radę, czy brać kredyt na samochód i urządzenie mieszkania. Czy jej mąż dostanie pracę w tej wielkiej produkcji amerykańsko-polskiej o życiu Pułaskiego?

– Tak, tak, wiem. Kupiliście dom. On zniszczy wszystko dla jednego mebla. Jak to jakiego? Dla łóżka – nie mogłam jej oszukiwać. Mężuś znalazł sobie aktoreczkę. – Będziesz szczęśliwa, gdy zrozumiesz, że chuj w erekcji to jedyny pion moralny faceta. Pewnie, że mogę tak mówić, przestań ryczeć. Wytrzyj nos i zajmij się dzieckiem. Nic nie zmądrzałaś? Oczywiście, ludzkość jest głupia, bo inteligencję dziedziczy się po matce. Daj mu piersi, bo kwili i nic nie słychać. No, coś ty? Kto ci naopowiadał, że uleczy mnie ludzkie mleko? Zadzwoń, jak

poczujesz się lepiej. U mnie wszystko w porządku. U mamy? Wysyłam jej pół pensji. Dziewczyno, uspokój się. Masz przed sobą przyszłość, widzę ją jasno...

*

Reżyser dowiedział się od Elki o moich jasnowidzeniach. Proponuje rolę w erotycznym horrorze o czarownicach *Stos pacierzowy*. Niech się wypcha. Teraz mam własny film, z główną rolą. Świetliste sceny przewijają się przez zamknięte oczy.

*

„Współczesna Wenus z Milo. Kobieca sylwetka bez rąk, z ponętnym wcięciem do objęcia i krągłościami. Zaspokaja pragnienia każdego. Demokratyczna bogini pożądania. Konsumpcyjna hurysa, tracąca dziewictwo po każdym odkapslowaniu" – nagrano na magnetofon mój opis butelki Coli. Przedmioty są ukrytym szyfrem. Niektórzy go odczytują. Rzeczy zawierają w sobie własną definicję. Mówię o tym z lekkości mego ciała i dyrektorzy działów przychodzą słuchać.

*

Nie dostaję od tygodnia gazet. Telewizor się zepsuł. Szefowa postanowiła wysłać mnie do Francji, do wypoczynkowego miasteczka Paradiso niedaleko Paryża. Tropik pod szkłem. Od rana sauna, masaże, dietetycy. Dwa tygodnie odpoczynku – porady wizażystek, fryzjer, kosmetyczka. Zasłużyłam na urlop. Pojedzie ze mną Miszka.

*

W samolocie rozdawano gazety, wzięłam pierwszą z brzegu. Wielki tytuł: *Kasandra wolnego rynku* i moje zdjęcie, które miało być w „Playboyu", a nie w czarno-białym szmatławcu. Zanim Miszka wrócił z toalety, przeczytałam... o sobie. Reżyser pod pozorem filmu o czarownicach chciał zrobić ukrytą kamerą dokument o nawiedzonej, zamkniętej w szklanym wieżowcu. Reporter gazety wykrył, że w budynku firmy reklamowej więziona jest anorektyczka. „Typowym objawem anoreksji – (psychosomatycznej choroby dziewcząt z krajów zamożnych) jest chorobliwe odchudzanie. Prowadzi ono do skrajnego wycieńczenia, a często przypadków śmierci głodowej. Chora miewa zaburzenia w percepcji ciała. Pojawiają się halucynacje. Są one skutkiem ubocznym poważnych zmian fizjologicznych. Dochody firmy reklamowej, wykorzystującej chorą dziewczynę, zwiększyły się pięciokrotnie w ciągu kwartału. Firma wygrywa również na giełdzie."

Spytałam Miszkę, o co chodzi, czy to prawda?

– Prasa węszy za sensacją. Konkurencja nie może nam darować sukcesów – machnął ręką. – Jesteśmy zgranym zespołem. Wszyscy cię lubią. Tak dobrze się nam współpracuje, że niektórzy zamieszkali w pracy. Normalne. Wiesz, co nie jest normalne? Jedzenie w samolocie. Zobacz te plastikowe obrzydliwości – podsunął mi tackę glutów.

*

Ostatniego dnia w Paradiso dałam się unieść prądowi wody. Kilometrowa ślizgawka pomiędzy skałami. Wpadłam do basenu i wynurzyłam się z wizją. – Miszka! – krzyknęłam. Wbiegł w ubraniu do wody i wyniósł mnie na brzeg. – Miszka, wiem, jakie hasło wygra tegoroczny konkurs filmów reklamowych w Cannes!

Miszka wyjął mokry notes i leżąc przy mnie, szykował się do pisania. – Przestań. Ludzie pomyślą, że spisujesz moją ostatnią wolę.

Przeszliśmy do palmiarni. – Miszka! Coca-cola walczy z Pepsi-colą. To wojna cieczy. Materia ściera się z materią pod każdą postacią. Taka jej natura. Wojna smarów na przykład. Margaryna walczy z masłem. Wygra pod sztandarem: „Margaryna wchodzi bez masła". Tytuł nagrodzonego filmu: *Ostatnia kostka masła w Paryżu.*

*

Po powrocie do Polski zastałam w biurze brata. Przyjechał z Berlina. Strasznie się stęsknił. Chce, żebyśmy znowu mieszkali razem. Nie mogłam z nim wyjść na miasto. Nie mam siły.

– Jesteś sama na tym świecie – wzruszył się. – Oni cię wykorzystują, głodzą. Z twoim talentem i moją pracowitością założymy najlepszą firmę. Rodzinną dynastię – przekonywał. Co mogłam mu poradzić?

– Nie płacz nade mną. Zastanów się nad sobą. Zlikwiduj swoją berlińską restaurację. Grill jest bez przyszłości. Za dużo szkodliwych tlenków i tłuszczu. Do tego choroby zwierząt. Czasy się zmieniają. Zainwestuj w przyszłość.

– Ale w co?

– Każda epoka ma swój gorset. Każdy musi go nosić, więc kupi. Gorsetem naszych czasów są prezerwatywy. I nie przetrzymuj dochodów, nie akumuluj. Katolicy nie są protestantami. Nie bądź kapitalistą, cierpiącym na zatwardzenie pieniądza. Kocham cię jak brata, i ty kochaj braci, siostry – inwestuj.

*

Szefowa zapytała, czy mam ochotę na spotkanie z księdzem.

– Kościół nie potrzebuje reklamy, potrzebuje miłości. Skoro jednak potrzebuje mnie, to ja potrzebuję go jeszcze bardziej. Niech wejdzie.

Ksiądz z mojej kieleckiej parafii – przysłał go brat. Przyniósł namaszczenie chorych. Wyprosił z pokoju szefową i Miszkę. – Czy chcesz się, córko, wyspowiadać?

Spowiadałam się krótko. Ksiądz był zadowolony z czystości mego życia i myśli.

– Widujesz, córko, anioły? – zdziwił się, gdy mu o tym wspomniałam.

– Tak, ojcze.

– Anioły są nosicielami nowin, czy coś ci przekazały?

– Wyjawiły, czemu stoją za człowiekiem, a nie przed nim.

– Tak?

– Bo łatwiej im kopać drania w tyłek niż ciągnąć za sobą przez całe życie.

– Fantazje, moja córko, fantazje.

– Powtarzam, co usłyszałam.

Ksiądz przeżegnał mnie krzyżem i wyszedł.

Opłatek schowałam na później, gdy będę miała apetyt.

*

Miszka jest niewierzący. – Masz wizje z mózgu, nie z duszy – mądrzył się. – Duszy nie ma. Zatruwasz się własnym organizmem i majaczysz. Jakimś cudem te majaki są zgodne z rzeczywistością. Prawdopodobnie twój układ informacyjny nie bierze pod uwagę ograniczeń zdrowego rozsądku i dlatego w tym zwariowanym świecie zgadujesz w 70 procentach prawidłowe następstwa.

Został dzięki mnie zastępcą szefowej.

– Wierzysz w naukę? W ewolucję, i tak dalej?

– Co, miałaś wizje religijne?

– Może. Znam dowód na zawodność ewolucji. Jesteś tego najlepszym przykładem.

– Niby co? – Miszka zaniepokoił się. W końcu, jak wyliczył, trzy czwarte moich objawień się spełnia.

– Tyle kobiet ci ssało i nic. A według praw przystosowania naturalnego czubek twojego członka powinien wyewoluować w sutek.

Miszka przygniótł mnie gazetami – Masz, przerabiaj makulaturę. Wyszedł, trzaskając drzwiami. Boi się mojej zemsty za tamto sprzed roku. Mogę naopowiadać bzdur i uwierzą. Że zamierza zdradzić sekrety kampanii reklamowej innej firmie, że przynosi nam pecha.

*

Podłączyli wideo. Nagrywam wiadomości. Nie potrafię zapamiętać setek nazwisk, nazw. Przewiduję, gdzie polecą strzałki na giełdzie. Argentyńskie akcje w dół, chińskie bez zmian. Fundusz powierniczy Zuch klapa całkowita, defraudacja. Uratuje go przekupny minister. Potem największy proces o korupcję. Wygra minister. Najpewniejszym rządem w Rosji byłby reżim wojskowy. Niestety, narzucono im demokrację, więc banki światowe, dbające o swoje, utopione tam pieniądze, sfinansują wybory. Prezydentem zostanie szef paramilitarnej organizacji – mafioso Waśka.

Nocami oglądam filmy. Zamówiłam wszystkie z Marilyn Monroe. W *Przystanku autobusowym*, bawiąc się dwoma groszkami na talerzu, mówi do siedzącego przy barze faceta: „Z dwóch rzeczy jedna jest zawsze lepsza niż druga. Zawsze możesz wybrać.” Czyż nie jest to najwdzięczniejszy opis wolnego rynku i reklamy? Oferuje wolność wyboru spośród dwóch identycznych groszków tylko dlatego, że jeden z nich zachwala piękna kobieta. Poza tym wrażenie identyczności dwóch groszków wynika z tego, że bidulki nie mogą ze sobą konkurować. Leżą na talerzu. Nie jestem głodna.

*

Myślałam o tym, co mnie spotkało. Ludzie się bogacą. Więcej kupują, więcej trawią – jedzenia, rzeczy, pieniędzy. Ktoś płaci za ten dobrobyt Polski. Ile jest podobnych mi dziewcząt? Wzdragających się przed nadmiarem i przesytem? U Żydów 36 ukrytych sprawiedliwych podtrzymuje istnienie świata. Bóg przez wzgląd na nich nie spuszcza na Ziemię ognia kary.

*

Marilyn czyta się tak samo, jak Merlin – ten czarownik z filmu o rycerzach Okrągłego Stołu. Znał przeszłość, bo był synem diabła. Przepowiadał przyszłość, gdyż jego matka była zakonnicą i Bóg się nad nim ulitował. Nade mną też.

*

Szefowa prosi o wymyślenie czegoś oryginalnego na kampanię nowych podpasek. Widzę tylko jedno rozwiązanie. Ogłosić prawdę. „Dziewczęta, kobiety! Nie dajcie się ogłupić. Wmawiają wam czystość pod warunkiem używania najnowszych wkładek i tampaxów. Żerują na waszym podświadomym pragnieniu czystości duszy, niesplamionego sumienia. Handlarze chcą, żebyście dostały cielesnej, materialistycznej obsesji zaplamionych spodni i sukienek. Zapomnicie wtedy o prawdziwej czystości duchowej.”

*

Nie będę czytać gazet. Ani gapić w telewizor na ludziki, pomniejszone do wielkości rybek akwaryjnych. Żyją w swoim świecie za szkłem, puszczając bąbelki opinii, poglądów. Wyjęte na zewnątrz, do prawdziwego świata – zdychają. Tracąc popularność giną. Otwierając usta wypuszczają zamiast słów pustkę. Medialne larwy. Sączą z siebie w wywiadach wspomnienia, jak wyciskane wągry. Czyrak osobowości?

Najszczęśliwsza jestem nocą. Puste biuro. Nie śpię, zanurzam się we własnych myślach. Już nie wiem, co jest wizją, co mną. Mieszają się we mnie w jedno. W ciemnościach lekko świecę. Fosforyzująca poświata otacza moje smukłe kości. Dopiero teraz wiem, czym jest szczęście. Moje poprzednie życie było wulgarną bzdurą. Kobieta powinna być subtelna i uduchowiona. Nikogo nie potrzebuję, żywię się własną euforią. Medium to kanał. Medium jest rynsztokiem dla transcendencji, łączącym ciężki świat materii z eterycznym zaświatem. A jeśli jestem zwykłym kanałem, zamienionym w ściek? I z mych ust spływają medialne pomyje, którymi żywi się ten materialistyczny padół?

*

Szefowa przyniosła sukienkę od Diora i pudło kosmetyków. Sprezentowała mi też płaszcz od Armaniego.

– Może przejrzysz najnowsze tendencje mody? Zimno ci? Przyniosę drugi grzejnik – była troskliwa i naprawdę zaniepokojona. Nie czuję do niej dawnej złości. Uczucia mijają. Oddalają się ode mnie na podobieństwo ludzi, rzeczy. Widzę już tylko kontury, kolorowe plamy. Błogość samotności.

– Chcecie, żebym mówiła, co widzę w gazetach. Powiększacie specjalnie całe strony o gospodarce. Daremnie. Nic nie widzę, nie chcę widzieć. Są ciekawsze sprawy. Nie powiązane przyczyną z łatwym do odgadnięcia skutkiem. Chociażby tajemnica miłosierdzia, zagadka Trójcy Świętej czy praprzyczyna reinkarnacji. To, czego chcecie się dowiedzieć o giełdzie, krachu gospodarczym, jest zwykłym produktem przenikliwego intelektu. Mózg wydziela myśli. Każdy organ wydziela swoje śluzy: trzustka insulinę, żołądek kwasy, i warto się tym chwalić? – trzęsłam się z zimna. Mam dreszcze.

Szefowa nie zrozumiała. Usiadła na stołku u mych stóp. Niedowidzę, zdaje się, że kolana osunęły się jej na podłogę. Klęcząc, mówiła:

– Tu już nie chodzi o naszą firmę. Pomyśl o kraju. Ojczyzna bez twoich rad załamie się gospodarczo. Politycy są jak zwykle bezradni. Ty jesteś ratunkiem, do ciebie się zwracają miliony potrzebujących.

– Naród da sobie radę. To plemię zrośnięte strupami, bliznami. Sczepione ze sobą na zawsze pazurami. Zostawcie mnie w spokoju. Nie widzę liter. Jestem dobrą sekretarką i znam na pamięć klawiaturę. Chcę pisać swój pamiętnik.

I nie próbujcie mi wetknąć kroplówek, nawet gdy stracę tutejszą przytomność, bo rzucę klątwę na firmę.

*

Szefowa wyjechała na urlop. Miszka został bossem i moim dostawcą świata. Przynosi gazety, wodę, dietetyczne chrupki. Zagląda co godzinę, czy ruszyłam cokolwiek. Podchodzi na palcach sprawdzić, czy jeszcze oddycham.

Poprawia mi płaszcz od Armaniego, zsuwający się z ramion. Podkręca grzejnik. Sądzi, że zasnęłam. Nie otwieram oczu. Nie jedząc, nie pijąc, nie ruszając się, nie mam przemiany ma-

terii. Zastygam w absolutnym bezruchu. Pomaga mi to w koncentracji na jednej myśli. Ona wchłania inne. Absolut.

*

Pożegnałam się z Elą przez telefon. Pocieszałam ją: – Jestem już zdrowa. Wyleczyłam się z człowieczeństwa, Elka. Wyjdę za okno i gwiazda spadająca oświetli miasto.

LATIN LOVER

Rok śpiączki Joségo kosztował opiekuńcze państwo szwedzkie trzy miliony koron. Dziesięć tysięcy dziennie, przesączanych z kieszeni podatnika w glukozę i krew, odżywiające zmartwiały mózg dwudziestodwuletniego Meksykanina. Ingrid, jego żona, podpisała zgodę na odłączenie aparatury. Dzisiaj dwie falujące, elektroniczne linie, śledzące puls i oddech pacjenta, rozejdą się na zawsze, w dwie proste równoległe, bez szans ponownego połączenia ciała i życia.

Życie Joségo Tapasa miało być zwykłe. Od urodzenia po śmierć. Z jednym wątkiem, tkanym według tradycyjnego meksykańskiego wzoru: honor, makabra i tequila.

Z dzieciństwa mało pamiętał. Czasami zdawało mu się, że przeniosła go przez nie w ramionach matka. Kiedy podrósł, nie lubił siedzieć w domu. Włóczył się z chłopakami po przedmieściach rodzinnego El Paco. Szukali skarbu wśród kamiennych ruin indiańskich budowli. José wkładał palec w wąskie szczeliny i wodził wzdłuż rzeźbionych zawijasów: szponów ptaków, paszcz zdziczałych bogów, wyżerających ludzkie serca... Szczęśliwie docierał do końca ornamentu, skąd mógł wrócić do początku. Wierzył, że umie czytać azteckie znaki. Nie potrafił jeszcze odszyfrować liter drukowanych lub pisanych na papierze. Były zbyt misterne. Sylabizując je, słyszał głos ojca: "*Be, Be,* jak baran. Nie *Pe, Pe,* jak pacan!" Kamienne znaki nie miały jednej, trudnej do zapamiętania nazwy *Ka* albo *Te*. Opowiadały długie, zawiłe historie, za każdym razem inne.

Osiemnastoletni José zdał maturę i zapisał się na uniwersytet w stolicy. Wybrał filologię hiszpańską. Nie mając szczególnych talentów, doskonalił to, czego nauczył się w dzieciństwie – czytanie. Po studiach wróciłby na swą prowincję. Uczył w gimnazjum, ożenił się i tak jak ojciec-nauczyciel zostałby godnym szacunku *hombre*, ceniącym pamięć Emiliano Zapaty, dobry trunek i sjestę. Łatwą do przewidzenia przyszłość Joségo poplątało spotkanie z Ingrid.

Dla niej każdy rok był sumiennym wypełnianiem obowiązków córki zamożnej, sztokholmskiej rodziny. Ingrid w odpowiednim czasie nauczyła się chodzić, mówić, łykać regularnie tabletki antykoncepcyjne i prowadzić samochód. Gimnazjum skończyła z wyróżnieniem. Małżeństwo, w które wplątała się na studiach – rozwodem. Nie myląc odtąd seksu z sentymentami, uniknęła dalszych pomyłek matrymonialnych. Jej kariera radcy handlowego przypominała sukcesy gospodarki szwedzkiej w latach osiemdziesiątych. Załamała się na początku roku 1990. Ingrid popadła w depresję. Zmuszała się do pracy, do bycia z ludźmi. W święta odwiedzała rodziców. Boże Narodzenie obchodzili po chrześcijańsku, śpiewając pod jodłą psalmy. Latem, w najkrótszą noc roku – *Midsommar*, tańczyli pogańsko wokół pala płodności, wbitego na łące przy letniej rezydencji. Podczas tej jasnej nocy, gdy słońce oświetla Ziemię spod horyzontu, Ingrid wyrwała się z łańcucha tancerek w białych sukniach i wiankach. Usiadła bosa na ziemi. Rozpłakała się jak mała dziewczynka. Lnianą suknię zaplamiła rozgnieciona, soczysta trawa, wianek zsunął się na nos. Ktoś podał jej szklankę wina, ktoś niezdarnie próbował ją przytulić. Nie starczyło mu sił i padł, mamrocząc *skol*. Ingrid ogarnął wstręt. Czym było jej trzydziestoośmioletnie życie? Pustką, urządzoną niby dom lalek: szykownymi mebelkami, samochodem w garażu, pracą, gdzie spotykała podobne, wypchane pieniędzmi lalki. Postanowiła wyjechać. W biurze podróży zachwalano egzotykę i komfort modnych plaż Acapulco. Miała nadzieję, że witalność Południa uleczy ją z melancholii.

W Meksyku za mackami żaru pełzały dziwaczne zwierzęta, wsysające ciepło. Tropikalne gorąco płynęło przezroczystą lawą. Ingrid snuła się między plażą a hotelem. Upał podszczypywał jej obnażone uda, obmacywał piersi. Smarując kremem pomarszczoną skórę, łudziła się, że wysusza ją słońce, nie czas.

Znudzona hotelowym menu dla gringos, zaglądała do knajp, szukając prawdziwego meksykańskiego jedzenia. Nie przejmowała się wulgarnymi zaczepkami wąsatych facetów. W zaułku uliczki schodzącej do oceanu trafiła na knajpę, której jedyną ozdobą było olbrzymie okno. Ludzie za szybą poruszali się wolno w słoiku konfitury z lepkiej przestrzeni. Zanim podszedł kelner, Ingrid przeczytała dokładnie kartę. Nie chciała *chili con carne*. Miała ochotę na *chili con sex*. Ostry, pieprzny seks, przyprawiony latynosko-kiczowatymi sentymentami, z przystojnym kelnerem. Jego włosy, zaczesane do tyłu, połyskiwały tłustą czernią. Skórzane spodnie obciskały męskość. Nazywał się José. Studiował w Mexico City. Do Acapulco przyjechał na wakacje zarobić. Nie odważyłby się zaproponować randki tej białowłosej turystce. Onieśmielała go wyzywającą, egzotyczną urodą. Podając wino, starał się nie widzieć jej rozchylonych ud. Przytrzymała go za rękę.

– Wpadnij na drinka do Cabany, o siódmej – szepnęła.

– *With pleasure* – przytaknął skwapliwie.

Mężczyźni przy barze dostrzegli jej poufały gest.

– Leci na niego.

– Ma ze trzydziestkę, dziwka.

– Takie są lepsze od dziwek. Wszystko umieją, wszystko już robiły i chcą jeszcze.

Patrzyli za nią przez okno, oprawione w gipsowe kaktusy.

Było dokładnie tak, jak to sobie wymarzyła. Po drinku poszli na górę do jej pokoju. Chłopak pachniał słońcem i oceanem. Hucząca muzyka z dansingu i wino pite z butelki zmieniły ich miłosne muśnięcia w drapieżny taniec. Ingrid objęła go nogami, zarzuciła mu je na szyję. Opadła bezwolnie na poduszki, by w następnym takcie zmienić tempo. José po paru łykach wina znowu prowadził. Jego sprężyste ciało przebijało ją orgazmami.

Tej nocy Ingrid zapragnęła dziecka. – Mam 38 lat. Rok, dwa i może być za późno – obliczała w ciemnościach przy śpiącym Josém. – On jest nieziemsko przystojny. Oliwkowa skóra, prosty nos, najbielsze zęby, oczy na pół twarzy i ten słodko-okrutny uśmieszek. Mieszane dzieci są zdrowsze i ładniejsze. José mógłby przyjechać do Szwecji.

Na razie nie myślała o powrocie. Została miesiąc dłużej. Chłopak się zakochał. Nie znała takiej czułości i zwariowanych manier. Gdy powiedziała o ciąży, ukląkł przed nią i płakał, całując po brzuchu. Zawiózł do rodziców. Nie namawiali ich na zostanie w Meksyku. Skoro José skończy studia w Szwecji i zostanie *el profesor* w Europie... – Jego przodkowie też pochodzili z Europy – opowiadał Ingrid ojciec Joségo. – Dlatego jest zdolny i wysoki. W jego żyłach płynie krew hiszpańskich grandów.

W Sztokholmie wzięli jesienią ślub. Krewni Ingrid oglądali z pobłażaniem młodego południowca.

– Dla Ingrid dobrze, wreszcie zdecydowała się na dziecko – pocieszali się rodzice.

Przez dom przewalił się tłum znajomych, ciekawych jej Latynosa, stukającego obcasami po parkietach. Przyjaciółki wpatrywały się w niego z nabożnym pożądaniem. Czterdziestoletnie, bogate kobiety, marzące o seksie z niezawodnym kochankiem. José był dla nich uroczy i niedostępny. Kochał Ingrid.

Nie najlepiej znosiła ciążę. Najpierw zadręczała się, czy dziecko będzie normalne. Później piekła ją zgaga, puchły nogi. Złościła się na Joségo o przesłodzoną kawę, krzywo podsunięte pod obolałe plecy poduszki. Denerwowała się jego tępotą. Po trzech miesiącach kursu nie dawał sobie rady ze szwedzkim. Nadal rozmawiali po angielsku. Irytowało ją powtarzanie tych samych, najprostszych szwedzkich słów. José zamieniał je w nieistniejące w żadnym języku, chociaż przekonywująco brzmiące wyrazy.

– Jestem twoją Królową Śniegu – powiedziała mu Ingrid na pierwszym zimowym spacerze w parku. Zapamiętał: „Król-wą Śngu”.

Dzieci turlały się w zaspach, zjeżdżały z górki na sankach. „Tak jest ze szwedzką wymową – pomyślał José. – Akcent wspina się z wysiłkiem pod szczyt i spycha słowa, żeby rozjechały się bezładnie, poprzewracały”.

Nauka szwedzkiego była torturą. Nie słyszał, gdzie kończą się zdania, nie odróżniał dziwacznych samogłosek, przedrzeźniających a, u, e. „Mieć dwadzieścia lat i trafić na granicę swej wszechmocy, jest początkiem ułomności, zwanej dorosłością” – zanotował w zeszycie pośród wierszy o miłości i samotności.

Na starówce, w latynoskim barze Chiquita, zaprzyjaźnił się z barmanem – chilijskim studentem historii. Claudio mieszkał w Szwecji od dawna i nie miał złudzeń: – José, trafiłeś do raju białowłosych aniołów. Przebogaty kraj, eksperymentalna probówka przyszłości. Światem będą rządzić kobiety, tu właśnie się to zaczyna. Chcą wsadzać do więzienia klientów prostytutek. Niedługo bycie mężczyzną będzie tu przestępstwem. Nic dziwnego, skoro w ich języku „człowiek” – to ona. „Śmierć” – on. Kulturowy matriarchat. Kraj w kształcie zwisłego penisa! Mitycznym założycielem tego narodu nie był żaden bohater, ale pramatka Svea. Uważaj na siebie, bracie – perorował Claudio, przekrzykując salsę. – Kończą się walki systemów politycznych, władza mężczyzn...

José zgodził się na „wspólny poród”. Będzie przy niej, jeżeli to takie ważne... Ingrid liczyła dni do końca męki. – Co ze słynnym instynktem macierzyńskim reklamowanym w podręcznikach dla ciężarnych? – martwiła się. – Wszystko w swoim czasie – pocieszała ją matka. – Zobaczysz maleństwo i zapomnisz o porodzie, o cierpieniach.

Po pierwszych skurczach, gdy odeszły wody, José zawiózł ją do szpitala. Heroicznie wkroczył do sali porodowej.

– Nie, Ingrid, nie potrafię! – rzucił się do wyjścia, gdy rozcinano jej krocze.

– Wracaj! To jest nasz poród! – jęknęła.

Urodziła po trzech godzinach. Pielęgniarka zawołała Joségo. Do porodówki wjechał tradycyjny wózek z szampanem i szwedzką flagą. Szczęśliwa, uczesana i umalowana Ingrid przytulała dziecko. Na jego rączce zaciśnięto plastikową bransoletkę z napisem: „Dziewczynka Tapas”.

Ingrid szybko znudziły pieluchy, przeciery, podgrzewane butelki. Wróciła do pracy. Dzieckiem zajmowała się niania. Gotowaniem i sprzątaniem – gosposia. José czytał książki, pisał wiersze. Woził na spacer kilkumiesięczną Sabinkę. Wysłuchiwał matczynych zachwytów podstarzałych biznesmenek i arystokratek, odwiedzających dom pod nieobecność Ingrid. Sprawdzały, czy robi postępy w szwedzkim. Pakowały mu palce w usta, układając wargi do wymowy a, o. Miał ochotę je polizać z litości albo pogryźć. Samiczy chichot tych kobiet był skomleniem o seks. Wychodziły, poprawiając żakiety i obciągając spódniczki, jakby je ktoś próbował z nich zedrzeć.

Któregoś wiosennego dnia wyrwał się wcześniej ze szkoły. Bolała go głowa. Wszyscy w klasie narzekali na wiosenne przeziębienia. Po drodze do domu kupił aspirynę. W ogrodzie sąsiadów stały sczepione ze sobą psy husky. Szkliste, niebieskie ślepia suki iskrzyły się niczym dwa kawałki lodu. Takie oczy miewała Ingrid. Nie pytał wtedy, co się stało. Omijała go wzrokiem, patrzyła w telewizor. Zmęczona, zamykała się w swoim pokoju.

José wszedł do mieszkania. W przedpokoju leżała torba Ingrid, w sypialni paliło się światło. – Źle się czujesz? – zawołał.

Leżała w łóżku, paląc papierosa. Obok niej śpiący facet. Miała lodowate spojrzenie. José zatoczył się. Chciał ich zabić, zabić siebie. Uciekł. Nie za bardzo pamiętał, co działo się przez ten tydzień. Ocknął się w domu Claudia. Pił, budził się nieprzytomny, zasypiał, żeby zapomnieć, że żyje. Wrócił do domu, sam nie wiedząc, po co. Zobaczyć córkę. Ingrid nie próbowała się tłumaczyć, przepraszać. – Nie żyjemy w średniowieczu ani w Meksyku. Mogę robić, co chcę.

José nie zamierzał powtarzać banałów. Powiedziały się same, bez jego woli. – Przecież jesteś matką, moją żoną...

– I dlatego mam zrezygnować ze swojego życia?

Spakował się. Do plastikowego worka wrzucił ubrania, książki. Gosposia podała mu kopertę. Ann von Trot, najlepsza przyjaciółka Ingrid, zapraszała go do siebie.

– Ingrid taka jest, nie zmieni się. Wykorzystała twoją naiwność. Przywiozła cię z podróży jak jaszczura z Galapagos – Ann rozwiewała ostatnie złudzenia. Był dawcą spermy. Rozpłodowym samcem.

Ann również potrzebowała pomocy. Spragniona czułości, starzejąca się arystokratka, znudzona elegancką samotnością. José jej nie zawiódł. Obsługiwał seksualnie, udając namiętnego kochanka. Zasłużył na przytulne mieszkanko w centrum Sztokholmu. Wkrótce zaspokajał zachcianki pozostałych przyjaciółek Ingrid. Najpierw z zemsty, później dla drogich prezentów, dyskretnych, comiesięcznych przelewów bankowych. Najbrzydsza z nich podarowała mu małą Alfę Romeo „Żebyś przyjeżdżał, kiedy cię potrzeba" – nagryzmoliła szminką na przedniej szybie.

Nie były o siebie zazdrosne. Sprawny seks uważały za wartą wydatku usługę. José wiedział, że polecały go sobie jak dobrą fryzjerkę czy krawcową. Był kosztowny, a luksus kosztuje. Drogie garnitury, buty szyte na miarę. „Najbardziej dekoracyjny facet w Sztokholmie" – ocenili go dwaj *party fixaren*, kręcący modnym światkiem stolicy. Dopisali do listy sław, zapraszanych na snobistyczne imprezy. José nie opuszczał żadnego szykownego party. Stał samotnie z drinkiem, oceniał gości. Wychodził na parkiet, gdy grano szybkie kawałki. Blondwłose piękności uganiały się za zmysłowym przystojniakiem. Żaden tutejszy nie potrafił tak stanowczo objąć, szeptać komplementów, uwodzić bez desperacko-pijackich pytań: „Czy nie masz nic przeciw temu, że cię pocałuję?"

José sprawiał sobie przyjemność krótkimi romansami. Zostawał do pierwszych pretensji. Lubił patrzeć na żałosne miny dziewczyn, kiedy pytał: „Dlatego, że mnie kochasz, mam zmienić moje życie?" Młode, piękne płaciły łzami. Stare klientki – walutą.

Zdarzało mu się kilka dni nie odpowiadać na telefony, nie wychodzić z domu. Pił i układał wierszyki: „Ciężki jest zawód poety – wyciskać podziw z kobiety". Trzeźwiejąc, brzydził się sobą.

Ann von Trot zabrała go w połowie lata na swój jacht. Od czasu, gdy dowiedziała się, co oznacza po hiszpańsku jego nazwisko*, mówiła do niego: *My Snack*. Obtańcowywał zaproszone na rejs stare pulardy, nafaszerowane silikonem i hormonami. Któraś z nich, rozochocona zmysłowym pląsem, zapytała, czy dałby jej lekcje salsy.

Ann sądziła, że to znakomity pomysł.

– José, mógłbyś założyć szkołę tańca! Znam kogoś, kto... – powiedziała w kabinie, zdejmując bikini.

– Jeśli chcesz się mnie pozbyć, to najlepszy pomysł – odpowiedział, zwilżając ją wazeliną.

– Chcę ci pomóc, *my poor, little Snack*. Nie myślałeś o własnym biznesie? Nikt ci nie każe tańczyć od rana do nocy. Byłbyś dyrektorem. Poza tym czeka cię rozwód. Będziesz potrzebował drogiego adwokata.

Zaprzyjaźnił się z młodym adwokatem Ann. Chodzili razem do dyskoteki. Podrywali najlepsze panienki. Gdy dziewczyna nie mogła się zdecydować na któregoś z nich, brali ją razem. Rozmawiali wtedy o rozwodzie, uważając to za znakomity dowcip. – José, nieźle się wżeniłeś, duuuże pieniądze – adwokat poprawiał głowę dziewczyny, nie dość głęboko biorącej go w usta. José posuwał ją od tyłu, przytrzymując za podskakujące pośladki.

Pewnej podyskotekowej nocy długonoga piękność leżała wyczekująco, a on nie mógł urosnąć do wymiarów mężczyzny. Zamiast dumnie wyprężonej męskości zwisała mu niewielka, zawstydzona chłopięcość. Dziewczyna pogłaskała ją czule i włożyła do ust. Po chwili wypluła.

– Coś nie tak ze mną?

Zaprzeczył.

– Z tobą?

– Nie.

– No, to nie traćmy czasu! – nadziała się na jego palec.

Radził sobie potem tą metodą coraz częściej. Przestał sypiać z młodymi dziewczynami. Oszczędzał siły na wymagające klientki. Nie zadowalały się wirtuozerią jego długich palców i francuskimi pocałunkami. Chciały mieć jurnego mężczyznę. Za to płaciły.

Nie pomagały pigułki z muszek ani witaminy. Dla napalonych na Joségo babsztyli jego impotencja byłaby obelgą. Straciłby kochanki i pieniądze.

Odwiedził zdziwaczałą malarkę. Ta przynajmniej nie żądała banalnej kopulacji. Zawiązała mu dziurawą, czarną chustką oczy, mazakiem dorysowała wąsik. – Jesteś Zorro! – rozkazała. – Galopuj i okładaj mnie szpicrutą!

Ujeżdżanie posiniaczonej, cycatej grubaski doprowadziło Joségo do spazmów śmiechu. Zdjął maskę, pocałował artystkę w usta. Ona była stuknięta, on chory.

Doktor uznał Joségo za okaz zdrowia. – Zwykłe przemęczenie. Proszę dać sobie dwa tygodnie urlopu, od wszystkiego. Jeśli się nie polepszy, wyślę pana do specjalisty. – Przepisał mu tabletki na wzmocnienie.

José postanowił zniknąć ze Sztokholmu. Zostawił Ann wiadomość, że wyjeżdża do Meksyku. Nie był pewien, czy wróci.

W rodzinnym mieście samotnie odwiedzał stare kąty. Koledzy poznajdywali pracę w większych miastach. Wracali, tak jak on, odwiedzić krewnych, pochwalić się uciułanym majątkiem. Rodzice obejrzeli z zachwytem zdjęcia wnuczki, domu, samochodu. Odtajała w nim dawna fantazja, nakłamał o Ingrid i studiach. Po pierwszym dniu wiedział, że nie zostanie. Nie pasował do nich, do swojej przeszłości.

Włóczył się po okolicy. Jezioro, w którym nauczył się pływać, zmalało. Przypominało olbrzymią rybę, rzuconą w piasek plaży. Łuska fal podnosiła się ciężko na śmierdzącym szlamem cielsku.

Zajrzał do starej Cabiros. Jej dom, sterta kamieni przykrytych słomą, stał na pustkowiu, przy piaszczystej drodze do wsi. Cabiros, pół-Indianka, rzadko odwiedzała miasteczko. Zjawiała się w targowe dni, zakutana chustą. Rozkładała ją na ziemi. Siadała w kucki i wróżyła z kart.

Lubiła go. Nigdy jej nie dokuczał. Miała dla niego tylko wodę. – Pij, woda jest piękna i ty jesteś piękny – chwyciła go za rękaw malutką dłonią, ściśniętą reumatyzmem w kształt kurzej łapki.

Chciał jej zostawić pieniądze. Pogardliwie prychnęła. Ślina ze szczerbatych ust skapnęła na zwitek banknotów. – Za pieniądze wróżę. Za duże pieniądze – zważyła w dłoni zapłatę – dużo powiem.

Kazała mu wyciągnąć sześć startych do białości kart. Westchnęła.

– Coś złego? – zaniepokoił się.

– Jak żyję, nie widziałam takiej wróżby! Z wielkiego nieszczęścia czeka cię wielkie szczęście – pocierała karty o czarną spódnicę.

– Coś więcej?

– Więcej nie można dostać ani tutaj, ani tam – odwiedziny były skończone. Cabiros usiadła na progu domu. José spojrzał w jej oczy, wpatrujące się bez zmrużenia w słońce. Staruszka była ślepa.

Obserwował powietrze. Porównywał je ze szwedzkim. Meksykańskie nie było lodowato przezroczyste. Unosił się w nim wieczny kurz podobny do tego z kamieniarskiej pracowni. Falowało pod dłutem niewidzialnego rzemieślnika, wykuwającego zwiewny ornament. José zapamiętał dziecinne wrażenie: na głazach indiańskich ruin ktoś narysował rozgrzane powietrze. Strumień ornamentu opływał spękany kamień.

Kiedyś z chłopakami próbowali odgadnąć, czemu Indianie porzucali w dżungli kamienne miasta. José przechwalał się, że umie czytać indiańskie znaki i poznał tajemnicę. Kumple go wyśmiali. – Zmyślasz! – zawyrokował konusowaty Pepito, wnuczek prawdziwych Indian z gór. Jego dziadek leczył zapalenie wyrostka robaczkowego zaklęciami. Podpierał chorego o podobne do akacji drzewo huamuchil i czekał na południe. Wtedy nożem wycinał z cienia chory kawałek. Ranę zaszywał magicznymi ziołami. Udeptywał ją, aż stawała się płaska i nie odstawała od ziemi. Wieczorem cień rozciągał się, znikał razem z bólem.

José pożałował, że dziadek Pepita dawno nie żyje. Może znał jakieś zioła na jego przypadłość?

Pepito, w podartej koszuli, podeszwach przywiązanych rzemieniami do stóp, mówił, że to ziemia Indian, dlatego daje im moc. Biali przynieśli śmierć. Są podobni do szkieletów, tańczących w dzień zmarłych. Pokazał Josému obejmujące się kościotrupy, podrygujące na sobie. – Biali tak robią dzieci. – José nie wierzył. – I wyją wtedy jak psy nocą.

Przed wyjazdem José poszedł nad jezioro. Kąpała się w nim naga dziewczyna. Nie przestraszyła się. Wyszła na brzeg. Zakładając sukienkę, podniosła ramiona. Za nimi potoczyły się w górę krągłe piersi. Z gęstych włosów na łonie ściekała woda. Były zroszonym ogrodem, gąszczem skrywającym słodki owoc płci.

Podeszła do niego, śmiejąc się zalotnie. – Hej, José! – Rozpoznał córkę sklepikarza. Miała z 15 lat. Usiadła przy nim. Słuchał jej dziewczyńskiego paplania. Wdychał wilgotny zapach czekoladowej skóry. Nie poczuł podniecenia. Dobroć.

Medycyna okazała się równie bezsilna, co José. Lekarz zapytał go, czy asystował przy porodzie.

– Wielu facetów traci po tym ochotę na współżycie. Podejrzewam, że przyczyną pana kłopotów jest umysł, nie ciało. Proszę spróbować psychoterapii.

Andersson, doktor psychologii, dogrzebał się w psychice Joségo węzła. W nim zasupłały się dusza i ciało pacjenta. Andersson podejrzewał, że Joségo wykastrowała żona.

„Wszechpożądliwa kobiecość zabija to, czego nie potrafi wchłonąć. Silny instynkt samozachowawczy Meksykanina przybrał formę pasywnej obrony, jaką jest impotencja. Impotencja jest także karaniem kobiet" – spekulował psychoanalitycznie.

José na leżance przyglądał się z bliska jego siwym, przyklepanym włosom. Obrysowywały cienkimi kreseczkami łysiejącą czaszkę. Nieskazitelny fartuch, narzucony na czarny garnitur, oddzielał doktora od brudów, wylewających się z podświadomości pacjentów.

Po kilku sesjach Andersson zdecydował:

– Skoro nie jest to uraz wyniesiony z pożycia małżeńskiego, poszperamy głębiej.

Doktor cofał go do dzieciństwa:

– Jesteś małym chłopcem. Grasz w piłkę – mówił przekonywująco. José posłusznie dziecinniał. Ciągiem skojarzeń wracał w meksykańską przeszłość. Grał z chłopakami w piłkę, po hiszpańsku wyzywał kłamliwego Pepito. Nie miał żadnych zobowiązań. W teraźniejszości czekały rozczarowane kobiety, długi, rozwód.

– Nie dam rady – zafrasował się Andersson. – Nie znam hiszpańskiego. Odeślę cię do doktora Mendésa.

Doktor Mendés prowadził psychoterapię hipnozą.

– Nie należy się spodziewać cudów. Nie większych, niż od figury Matki Boskiej z Gwadelupy – Mendés, argentyński Żyd, łypnął wesołymi oczkami.

José dawno nie słyszał takiego hiszpańskiego. W jego rozpędzie gubił się akcent, skaczący wśród słów niby byczki na argentyńskiej pampie. Doktor spacerował po gabinecie. Przystawał obok jaskrawych obrazów. Mówiąc, zacierał ręce, jakby ogrzewał się kolorami malowideł. Sprawdził podatność Josége na sugestię. Był zadowolony. Lewa ręka pacjenta posłusznie napełniła się gorącym powietrzem i powoli uniosła. José zabrał ją z powrotem. Trzymał sztywno wyciągniętą przy boku.

– Wszystko będzie dobrze. Szkoda, że nie od razu przyszedł pan do mnie. Andersson wywołał u pana regresję do dzieciństwa, i co? Spodziewał się usłyszeć seplenienie po szwedzku? Oto skutki przerostu intelektu nad rozsądkiem u takich specjalistów, jak on. Psychoanaliza zatrzymuje się na progu podświadomości. Zagląda przez uchylone drzwi. Hipnoza wchodzi dalej. Ogląda najskrytsze tajemnice. Ale czym jest hipnoza? Sugestią? Odmiennym stanem świadomości? Wmówieniem? Bywa skuteczna, chociaż nie wiemy, dlaczego.

– Drogi panie José, wyruszamy w nieznane. Proszę się rozluźnić i patrzeć na mój palec – Mendés rutynowo usypiał pacjenta.

Zamazany, falliczny kształt poruszał się wahadłowo przed oczyma.

Josége obudziła poranna erekcja. Niewielka, ale erekcja. Pierwsza od trzech miesięcy. Podziwiał ją, jak znikający łuk tęczy.

Tydzień później doktor był pewien powodzenia terapii. Postanowił ją przyspieszyć.

– Żeby szybciej wejść w hipnozę i łatwiej z niej wyjść, podaje się zaawansowanym pacjentom hasło. Proszę podać słowo, którego nikt nie użyje przypadkowo w pana obecności.

Josému przypomniały się dziecinne wyliczanki z indiańskich zaklęć.

– Cotetoje – może być?

– Świetnie – wpisał do komputera Mendés. – I drugie.

– Huamuachil.

– Znaczy to coś?

– Pierwsze nic, drugie jest drzewem.

– Jeszcze jedna sesja i od nowego roku akademickiego będzie pan prymusem w szkole i w łóżku – obiecał doktor.

Po wyjściu od Mendésa José zajrzał do cukierni. Na wystawie zaciekawił go czekoladowy globus. Ameryki przypominały klepsydrę. Piasek z Północnej przesypywał się zwężeniem Meksyku, przez pustynię, do Południowej.

Ostatnią sesję Mendés zaczął wspomnieniami.

– Mój ojciec nazywał się Teitelbaum, w Argentynie lepiej brzmiało Mendés. A pańskie nazwisko?

– Nikt go nie zmieniał. Po co?

– Domyślam się. Nie ciekawiło pana jego znaczenie?

– To oczywiste.

– Tak, po hiszpańsku tak, ale w sanskrycie oznacza ascezę, umartwianie się. Żadnych kobiet, alkoholu. Medytacja i joga.

– Nie wiedziałem.

– Stare przyzwyczajenie śledzenia słów. Jeszcze z żydowskiej szkółki. Hinduski „tapas" prowadzi do oświecenia.

Joségo nie interesowała joga. Mendés wprowadził go w sen. Obudził się po pół godzinie. Doktor włączył magnetofon. Krzykliwy głos bełkotał niezrozumiałe dźwięki.

– Rozumie pan coś z tego? – Mendés cofnął nagranie.

– Nie.

– To pana, że tak powiem, wypowiedź. Na początku było całkiem rozsądnie. Podniósł pan palec do góry i powiedział: „Pierwsze czytanie snu." Później zmienił się panu głos i nie chciał pan przerwać, musiałem krzyczeć: „Huamuachil!" Nie mówił pan nigdy po indiańsku?

– Nigdy – José sądził, że jeszcze śni.

– Piastunka może była Indianką?

José pokręcił głową. – Indiański?

– Wie pan co, jeden z pacjentów mówił przez sen po walijsku. Okazało się, że w dzieciństwie słyszał walijskie piosenki z radia. Proszę wziąć ze sobą kasetę i gdyby były jakieś problemy, dzwonić do mnie.

José przeszedł w półśnie przez korytarz. Obudził go hałas ulicy. Na rogu zajrzał do cukierni. Z czekoladowego globusa wygryziono pół świata.

Zadzwonił do Ann von Trot: – Przyjdź jutro. Tak, wróciłem. Bardzo się cieszę, że cię zobaczę. Idę spać, łeb mi pęka.

Przed zaśnięciem słuchał kasety Mendésa. Przenosił ciepło z ręki do pleców, rozlewał po całym ciele. Głos doktora przycichł, włączyło się nagranie z ostatniej sesji. Dochodziły do niego jeszcze kołyszące, nieznane dźwięki.

– Niektórzy mówią przez sen, inni do siebie. Skąd pewność, że się obudzili? – pomyślał, zasypiając.

Usłyszał: „Drugie czytanie snu". Ktoś mówił jego głosem: – Jestem szumem krwi. Biciem serca. Kiedy płonę, jestem bogiem słońca, kiedy wieje wiatr, jestem pierzastym wężem. Zawarliśmy braterstwo krwi, gdy kaleczyłeś palce na moich kamieniach. Wsączyłem ci zimną, kamienną krew. Poznałeś tajemnicę. Sny, oplatając głowę, rozmiękczają myśli i kruszą kości. Indianie uciekali z kamiennych miast ze strachu przed snem. Porzucali zdobyte przez wroga twierdze.

Bronili się górskim kryształem. Nie znali nic twardszego. Rzeźbili z niego czaszki na ofiarę. Sny kryształowych czaszek były przezroczyste. Obmywali je wodą.

Ludzkie głowy obmywają sny. Okadzają je dymem wspomnień i przeczuć. Indianie wiedzieli, że nadejdzie senna fala, pogrążająca myśli. Wyższa od murów miasta. Zatapiająca szaleństwem. Gdy się zbliżała, śnili ją, niosącą gęsty dym, ciężki sen bez marzeń, z którego nie ma przebudzenia. Co noc kładli się w innym miejscu, nienaruszonym snami. Jeżeli pewnego ranka przedmioty traciły barwę i zwykłą wagę, oznaczało to, że zbliża się najwyższa fala. Rzeczy stawały się zaśnione, nieprzydatne na jawie.

W mieście zostawał kapłan. Zasypiał na ołtarzu. Dawał się pożreć koszmarom, by uratować uciekających mieszkańców. Śnił cierpienie i szaleństwo. Prześnił je do końca, od początku. Ludzie byli znowu czyści. Wznosili nowe miasto. Mijały dwa, trzy pokolenia i sny kruszyły kamienne mury, mąciły kryształ ofiarnych czaszek. Kapłan zasypiał.

José się nie obudził. Umierał na sen.

NAMIĘTNIK

Rozkładam prześcieradło. Naciągam na łóżko. Będzie płótnem obrazu: kobieta i mężczyzna.

Wyciągasz po mnie ręce. Kładziesz na sobie. Śmiejesz się, że mężczyzna jest najpiękniejszym człowiekiem. Ale mam rację. Spójrz, twoje nogi są silne. Wąskie biodra, brzuch i uda to maszyneria mięśni. Najczystszy rysunek, bez poprawek na nieforemną, baloniastą ciążę. Nie jesteś spiżarnią z sadłem powtykanym w wałki tyłka i piersi. Nie przyssie się do ciebie od środka wygłodniały embrion. Zobacz:

Twój najmniejszy mięsień, ten nadgarstka, łączy się z ramieniem, muskułami. Jego ruch podtrzymują ścięgna pleców. Nie ginie gdzieś w krągłościach, nie rozpuszcza w tłuszczu. Dla kobiety dorastanie jest puchnięciem. Dla mężczyzny nabieraniem siły.

Widząc pierwszy raz moje nagie piersi, powiedziałeś: „Są bezradne jak rozłożone ręce." Całujesz je i są święte. Różowieje aureola sutek. Nasza Święta Cycanna, patronka o dwóch relikwiach. Trzeba je adorować, lizać. Dręczyć gryząc, ściskając, bo nie ma świętości bez umartwień.

Seks pachnie z ust i ślini się między nogami, kiedy mówisz do mnie, delikatniej niż pocałunek. Wkładasz język między wargi. Dzielimy się ostatnim zrozumiałym słowem. Rozgryzamy: ko – och – am. I opadają ozdoby słów. W jęku głos jest nagi. W samym środku krzyku. Pragnienie nieprzekładalne na wyuczone, tresowane słówka.

Zostaje rytm, puls krwi. Powinność rytmu, przywołującego rozkosz. Wkradam się pod ciebie. Zlizuję krople potu. Mają przezroczysty smak. Przepływa przez nie ciepło, słona łzawość, lepkość pożądania. Poczekaj – odpycham cię stopą. Bierzesz ją do ust. Rozdzielasz pieszczotą palce. Mokrą ocierasz o policzek.

Pochylasz się powoli nade mną. Włosy zasłaniają ci twarz. Twoje plecy są splecione z mięśni. Wygięte w pokłonie. Jest w nich uległość i groźba mocy. Wyciosany z kamienia antyczny kapłan, składający nasienie w ofierze: „Nie będziesz mieć innych mężczyzn przede mną" – żądałbyś, jak każdy zakochany bóg.

Wtulam się w twoje ramię. Masz pieprzyk. Brązowy, wystający guzik, spinający lśniącą skórę. Całuję zagłębienie szyi. Odchylasz głowę, poddajesz się pieszczotom. Za dużo, za mocno. Chcesz się znowu we mnie schronić. Siadamy, objęci udami. Ukąszenia pocałunków są zbyt bolesne. Liżemy sobie usta. Pchnięciem przenikasz moją miękkość. Przytrzymujesz za biodra. Unosisz, przyciskasz władczo do siebie. Przyciągasz, odpychasz. Jestem twoim odartym ze skóry, wyprężonym członkiem. Wyciskasz z nas rozkosz. Drżymy przed... Wyrywam się i chowam głowę pod poduszkę. Nie chcę, żebyś mnie dotykał. Jeszcze nie. Obnażyłeś mnie ze zwykłego ciała. Sączy się z niego wilgoć. Pod nim jest inne, miłosne. Z rozgrzanej skóry parują perfumy. Kładziesz się obok, opierasz na łokciu. Wdychasz drażniący zapach. Nigdy nie pachną tak samo. Nabierają aromatu od światła i pieszczot. Dojrzewają na ciepłej skórze.

Zamiast słów wkładasz mi w ucho język. Obiecujesz nim powolne spełnienie. Liżesz koniuszkiem najgłębszą czeluść. Gładzisz pośladki. Lubię dostawać klapsa niby zła, opieszała dziewczynka. Pewnie, że się nie spieszę.

Przyciągasz mnie za ramię, żeby potrzeć sierść. Zwierzęcą łatkę między nogami. Palec prowadzą do jamy rude żmijki śliskich włosków. Rozsuwam szeroko nogi. Gładki palec zamienia się w szorstki język. Mój słodki miąższ ścieka ci z ust.

Przytrzymujesz mi ręce. Nie wiem, czy cię odpycham, czy trzymam paznokciami za ramiona. Wślizgujesz się we mnie. Kołyszesz. Płytkie fale przyjemności zalewają usta. Łapię gwałtownie powietrze, wciągam w siebie oddech, ciebie. Popychasz do rozkoszy. Coraz mocniej. Przez moje ciało, rozwartą nagość. Znajdujesz nową pieszczotę, tędy. Najgłębiej. Gubimy się, wynurzamy, nie możemy mocniej wbić w siebie. Rozszarpać. Jestem w tobie, w pul-

sującym skomleniu. Tańczę skowyt. Palce ześlizgują się bezsilnie ze spoconych ramion. Rozkruszamy biodrami ostatni kawałek cukru, mdląco rozpływający się w naszych ciałach.

Otwieram oczy. Włókna prześcieradła. Całun z odciśniętym śladem mokrych ciał. Przygarniasz mnie ciężką dłonią. Całujesz ze snu. Jeszcze jesteś we mnie. Zaraz wypadniesz. Urodzę cię. Wyciekają mleczne wody i wysuwasz się łagodnie na moje zmęczone udo. Zasnuwam się snem. Król i królowa ze średniowiecznej ryciny. Kochają się. Spleceni w jedność. To my. Wzięliśmy koronę orgazmu z tego królestwa w nas, nad nami. Rozkoszy i władzy nad światem bez miłości.

MUR

W dramacie greckim nie podróżowano. Jedność miejsca i akcji trzymała bohaterów na wybiegu sceny. Chór komentował los przytrzaśniętych przez fatum. Dramat rozgrywał się tu i teraz. Jeśli Grek skazany został na wędrówkę, zajmowało mu to całą epopeję.

Człowiek nowożytny zachował zmysł dramatyzmu, lecz jedność miejsca i akcji umieścił nie na scenie, lecz we własnym wnętrzu. Pogmatwał tym czystość gatunku. Ludzkie życie stało się dramatyczną epopeją, człowiek – widzem i aktorem zarazem. Bohaterem romansów, wsiadającym do pociągu, by jadąc z miasta A do miasta B spełnić swój los. Zerwawszy z jednością miejsca i czasu akcji, podróżujemy między dzielącymi przestrzeń miejscami. Z braku wiary w przeznaczenie czas stał się prześladującym nas fatum. Nie potrafimy czekać cierpliwie na jego spełnienie. Rozjeżdżamy przestrzeń, tratujemy ją w rozpaczy i zemście za zburzenie bezpiecznej jedności. Od podróży oczekujemy fabuły, wyjaśniającej sens drogi. Pociągi z XIX-wiecznych powieści rozwożą we wszystkich kierunkach postacie dramatu. Paradoksalnie (od greckiego *paradoksos*, poprzez dziedzictwo Bizancjum) pojazd, służący do wygodniejszego pokonywania przestrzeni, staje się narzędziem śmierci na rosyjskich dworcach. Spełnieniem fatum literackich desperatów, rzucających się pod jego koła. Pociąg, zamiast przenieść bohatera ku przeznaczeniu, sam staje się przeznaczeniem.

Ostatnie dwieście lat jest czasem rewolucji i coraz częstszych podróży idei. Pomińmy frazes Lenina, przemyconego z Zachodu pociągiem, że rewolucja to parowóz dziejów. Prawdziwym rewolucjonistą był Kant. Skalpelem najczystszej myśli rozdzielił nieodwołalnie jedność czasu i przestrzeni. Dzięki temu, zdając sobie sprawę z metafizycznej trywialności podróży, nie opuszczał Królewca. Chociaż raz jeden złamał swe zasady i wyjechał do Gołdapi. Za ten czyn, niegodny filozofa, postanowiono wznieść mu na rynku miasteczka pomnik. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie i spiżowy Kant w Gołdapi nie zaświadczy o przewadze nierozsądku filozofa nad filozofią rozumu.

Anyway, wracając do drogi przebywanej przez nieświadomych niebezpieczeństw podróżnych – nadal wsiadają beztrosko do pociągów w Moskwie, Kutnie czy Denver. Naiwnie sądzą, że dotrą do miejsca przeznaczenia, będącego tak naprawdę pospolitym fatum. Pułapką skleconą z jedności czasu i przestrzeni.

Na przykład Maria w pustym przedziale nocnego pociągu z Tuluzy do Tarn. Poddająca się posłusznie taktowi jazdy. Jej opalone, szczupłe nogi okrywa biała spódniczka. Materiał układa się na kształt baldachimu, osłaniającego wewnętrzną stronę ud i trójkąt podbrzusza. Światło, przeciekające przez tkaninę, nagrzewa skórę ciepłym odcieniem. Promieniuje z panieńskich, zaciśniętych nóg.

W przedziale obok, przy otwartym oknie, w łopocie parnego powietrza, siedzi komisarz Carden. Każdy łyk wody z plastikowej butelki rozlewa się plamą na jego jasnobłękitnej koszuli. Carden przysypia. Gaśnie światło, pociąg hamuje. W ciemnościach jękliwy zgrzyt wagonów zagłusza cykady. Pustawy pociąg staje pośrodku sierpniowej nocy. Przewozi ludzi, ale mógłby też przewozić mrok, wlewający się otwartymi oknami.

Korytarzem idzie kobieta z ujadającym pieskiem na ręku.

– No, cicho już, cicho – głaszcze psiaka, zaciskając dwoma palcami jazgoczący pysk.

– Nie wie pani, co się stało? – Carden wychylił się z przedziału.

– Nie znam się na technice – odburknęła.

– Czemu zaraz technice? Może to krowa stanęła na torach?

Damulka chuchnęła pastisem. Poszła dalej, obijając się o ściany, jakby pokonywała pęd pociągu.

Maria zablokowała drzwi paskiem torebki.

Lokomotywa gwizdnęła na wagony. Dotoczyli się do Tarn. Z pociągu na opustoszały peron wysiadło tylko dwoje podróżnych. Przed zamkniętym dworcem nie było taksówek. Carden zaproponował Marii podwiezienie. – Dziękuję – odmówiła. – Pójdę pieszo.

– Dokąd? Miasteczko jest pięć kilometrów stąd.

– A klasztor? – Maria nie bała się poczciwie wyglądającego Cardena, ale z zasady nie dawała się podwozić obcym facetom.

– Jeszcze dalej – komisarz wziął od niej papierową torbę z zakupami.

Jechali pod górę wąską drogą. Zapachniało igliwiem i lawendą.

– Nie trafiłaby panienka nocą. Czemu nikt nie czekał na dworcu?

– Szykuję niespodziankę. Mój chłopak przyjechał miesiąc temu do klasztoru. Wakacyjna medytacja, modlitwa. Wie pan, dużo ludzi teraz tak robi.

Zajechali przed bielejący w ciemnościach pałac.

– Jest północ, klasztor to nie klub nocny. Wszyscy śpią. Trzeba nie mieć rozsądku, żeby wybierać się w drogę o tej porze.

– Dziękuję za podwiezienie.

– Jeżeli nie wpuszczą do klasztoru, zawiozę panienkę do hotelu – nie wyłączył silnika. Oświetlił furtę. Maria uderzyła w drewniane drzwi kołatką. Otworzyły się, wpuszczając najpierw jej cień.

– Jestem narzeczoną Juliana – powiedziała zaspanemu furtianowi. Nie pytał o więcej. Zaprowadził ją na piętro do pokoju gościnnego.

Julian dowiedział się o przyjeździe Marii od furtiana, idącego na jutrznię. Przeskakując drewniane schody, próbował zrozumieć, czy jego wzburzenie jest początkiem radości, czy strachu. Wyjechał z Paryża, by jej nie widzieć. Wymyślić przyszłość i przeszłość bez niej. Byli zrośnięci wspomnieniami. Ulepieni z drapieżnej miłości, która, zamiast przynosić zdobyczne szczęście, rozdrapywała ich własne. Julian ratował się, zostawiając Marię. Jak wąż, porzucający za ciasną skórę. Miała go chronić, zaczęła przeszkadzać.

Zatrzymał się przed pokojem Marii. Wiedział, co będzie: słowa, oddzielające przeszłość od teraz. Czego nie powiedział, albo nie napisał w listach. Dni sprzed jej przyjazdu, ich wspólne życie w Paryżu. Co zrobił? Dlaczego? Natarczywe pytania pod pozorem troski. Śledztwo. Kobiety są w tym najlepsze. Tak łatwo osądzają, potem wyrok: kocham cię, dlatego musimy być razem.

Zapukał i wszedł. Maria zapinała dżinsy. Przeskoczyła łóżko, objęła go. Pocałował ją we włosy.

– Cieszysz się, że przyjechałam?

– Mogłaś napisać.

Odsunęła się. – Mogłam, gdybym wiedziała, że przyjadę. Odprowadzałam ojca na Gare de Lyon. Godzinę później był pociąg do Tuluzy. W Tuluzie zrobiłam zakupy – odkleiła metkę z dżinsów. – Wyjechałam bez niczego. Spóźniłam się na wieczorny pociąg do Tarn, tutaj z dworca ktoś mnie podwiózł – zabrakło jej tchu. Nie chciała, żeby Julian jej przerwał. Powtarzał, że jest nierozsądna, kieruje się impulsami. Przed wyjazdem wysłuchała kazania: charakter to instynkt osobowości. Instynktu nie da się zmienić, co najwyżej zaspokoić.

Nie obchodziły ją mądrości Juliana. Gdy leżeli razem w łóżku, poniewierały się obok zdjętych pospiesznie ubrań. Kochała go, jej instynktem była miłość. Charakter? Zmieniała się na żądanie. Już jest inna niż przed chwilą. Rozsądna.

– Zostanę dwa, trzy dni. Nie musisz się mną zajmować, bardziej zależałoby mi na...

– Zjedzmy śniadanie – powiedział stanowczo.

Nagła powaga Marii mogła być wstępem do ważnej rozmowy, kończącej się zwykle niczym. Ona z zapuchniętymi oczyma, triumfująca, że udało się jej wyżebrać ochłap uczuć. On – rozczulony litością, zły na siebie, pragnący spokoju. Od dawna kłamała, zdradziła go. Był

tego pewien, chociaż nie miał dowodów oprócz pożądania, z jakim patrzyła na tamtego faceta w dyskotece. Tandeciarza-poetę, zgrywającego się na Jima Morrisona. Gdzie zaczyna się zdrada? W dotyku, pocałunku, pod skórą? Jej pożądliwe spojrzenie na tamtego zostało w Julianie. Przepaliło się w zazdrość. Według Marii wszystko sobie uroił. Ale on nie wymyślił Marii. Stała przed nim, gotowa skłamać i zapomnieć. Śmiać się, by zaraz płakać, mieć tysiące pomysłów i jedną pewność: naprawdę kocha jego.

Zeszli do refektarza. Usiedli za drewnianym stołem. Jedzący łamali się chlebem. Młodziutkie zakonnice w białych szatach, dziewczyny i chłopcy także na biało. Maria znała ich z oschłych listów Juliana. Pośrodku diakon, jego żona i córka. Dwie rodziny z małymi dziećmi w rogu sali.

– Furtiana już poznałaś – szepnął Julian. – Dobry, baskijski chłop, tylko porywczy. Nakrzyczy, później ciężko żałuje i leży plackiem w kaplicy.

– Obudziłam go, ale był miły.

– Lunatykował. Wyrwany ze snu Bask zostaje z wściekłości terrorystą.

Julian zamilkł, modlił się nad chlebem.

Maria spojrzała na drewnianą figurę świętej, zawieszoną pod kamiennym sklepieniem. Spływały z niej barokowe flaki. Nie cierpiała tego stylu, poskręcanego z nadmiaru świętości.

– Bracia i siostry – diakon dał znak odejścia od stołu. – Wieczorem adoracja Najświętszego Sakramentu. Jeszcze ogłoszenie parafialne. Moi drodzy, skończyły się zapasy herbaty. Jest kawa. Nie upadajcie na duchu, jej nie zabraknie. Kawę pobłogosławił dla chrześcijan Klemens VIII. Amen.

Z białego pokoju Marii, poprzecinanego drewnianymi belkami, widać było lawendowe wzgórza. Fioletowy zapach ich świeżości osiadł wieczorem na meblach, wykrochmalonej pościeli wielkiego łoża. Leżąc, Maria widziała żarówkę, wystającą z lampy. Kropla światła pęczniała w szklanej bańce. Skapywała łzą. I znowu rosła, zbierała się na końcu rozżarzonego drucika. Spadała ciężko z mokrych rzęs. Maria płakała. Nie została w kaplicy na wieczornej mszy. Kręciło się jej w głowie od kadzideł i łez. Nie widziała Juliana miesiąc. Dzielące ich dni ułożyły się w warstwy milczenia. Pytaniami wytrącała go nie z ciszy, lecz rozmowy, toczącej się w jego głowie: „Trudno utrzymać trzydzieści osób z jałmużny i darów. Są młodym klasztorem. Dwadzieścia lat – to niewiele. W innych klasztorach podobnie: problem z pieniędzmi i świętością. Jest święty – to są pieniądze z cudów i pielgrzymek."

– Strasznie tęskniłam, wiesz? – Maria złapała go za rękaw lnianej koszuli – Bądźmy znowu razem.

– Chcesz złożyć miłość na ołtarzu wiary rzymskokatolickiej? Zarżnąć ją w tradycyjnej ofierze? – dotknął jej czoła, mierząc temperaturę.

– Nie błaznuj.

– Ja? Twoja matka uważa, że kobieta bez wad jest kobietą bez pieniędzy. Czy jesteś już wystarczająco bogata? Będziesz po skończeniu studiów?

– Przez ten miesiąc przemyślałam wszystko. Dużo czytałam – najchętniej zasłoniłaby się książkami przed jego ironicznym spojrzeniem. – W przyjaźni przyciąga nas podobne. W seksie podnieca obcość. Miłość jest jednym i drugim. Pragnieniem podobieństwa i różnicy – dokończyła niepewnie. To on miał wyłączność na rację. Intelektualista, pouczający dentystkę. Bała się wygłupić, usłyszeć, że bredzi. Próbowała wedrzeć się w jego świat wytrychem słów. Czułość zatrzymywała się za oddzielającą ich szybą. Zostawiała na szkle rozmazane ślady pocałunków, zacieki łez.

– Mario, po co przyjechałaś?

– Po ciebie. Po nas.

Weszli do pracowni malarskiej. Anzelm werniksował chyba setnego anioła do przyklasztornego sklepu. Naklejał na deski reprodukcje, wygładzając je muśnięciem lakieru.

– Widzicie? – wyjął pokrojony pień jałowca. – W samym środeczku jest punkt, ziarenko, z którego rozeszło się falami echo życia – pogłaskał skaleczonym palcem słoje żywicznego drewna.

– Widzicie? – Julian przedrzeźniał Anzelma, gdy wyszli z warsztatu. – Każdy ma swoje prawdy. Ty dzisiaj wygłosiłaś swoją o miłości i przyjaźni. Anzelm powtarza jeszcze, że pierwsza komórka, z której powstało życie, podzieliła się na pół, bo pękła z pychy.

– Zawsze zachwycałeś się mędrkowaniem.

– Myśleniem. Nie efekciarskim aforyzmem, odganiającym myślenie.

Nie chciał rozmawiać. Najchętniej oprowadzałby ją w milczeniu po klasztorze, uchylając różne drzwi. Pokazywał ludzi, pochylonych nad kadzią z zaczynem chleba, sadzących kwiaty w ogrodzie, szorujących posadzkę w kaplicy. On sam pracował przy reperacji muru. Łatał kamieniami dziury. Z jednej strony zmurszałego ogrodzenia był klasztorny ogród, z drugiej – porośnięte zżółkłą trawą i ziołami strome wzgórze.

Diakon podszedł do samotnie stojącej w ogrodzie Marii. Przyniósł jej szklankę wody.

– Mam na imię Filip.

– Maria.

– Cieszę się, że mogę cię poznać. Julian opowiadał o tobie.

– Myślałam, że wyjechał, żeby o mnie zapomnieć – przekornie patrzyła mu w oczy.

– Miłości się nie zapomina. Wiem coś o tym.

– Miłości do Boga, czy ludzi? – Maria nie była pewna, o czym rozmawiają. Diakon przemawiał z łagodnością, ujmującą zwykłym słowom ich przyziemnego ciężaru.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza. Świat stworzył Bóg, dlaczego dzielić jedność? W naszej wspólnocie są kobiety, mężczyźni, rodziny. Modlimy się po hebrajsku i francusku. W piątki odprawiam drogę krzyżową i szabat. Nie trzeba rozdzielać tego, co może być razem.

– Czy Julian powiedział, że jestem protestantką?

– Tym serdeczniej przyjmiemy cię do naszej wspólnoty.

– Katolickie miłosierdzie zamiast protestanckiej zasługi? – uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Filip zerwał brzoskwinię.

– Nie myśl, że kuszę cię słodkim owocem – podjął żartobliwy ton – ale skosztuj słodyczy z ogrodu ekumenizmu, Mario.

– Filipie, mam przeczucie, że przez ekumenizm rozumiecie nawrócenie na katolicyzm – gęsty sok oblepił jej palce.

– Dobre?

– Bardzo.

– Widzisz, po owocach poznacie ich. Mario, do niczego cię nie namawiam. Jesteś naszym gościem. Pracuj z nami, jeśli masz ochotę, a gdybyś potrzebowała przewodniczki duchowej, siostra Daniela służy ci pomocą.

Daniela okazała się świętością, zasznurowaną w sztywny habit. Dwudziestoparoletnią, bladą panną. Pochodziła z pirenejskiej wioski. Do klasztoru wstąpiła, mając szesnaście lat. Niewiele wiedziała o życiu za murem i wiedzieć nie chciała. Drobne przewiny, zawstydzenia przeliczała na paciorki różańca, obwiązanego wokół dłoni. Przebierała paciorki raz szybciej, raz wolniej w zależności od napięcia, z jakim słuchała Marii. Fałdy białego habitu naginały się ciężko do jej powolnych gestów. Sztywno wykrochmaloną powagą przypominała lilię, zdobiącą ołtarz.

Za to Marii spodobała się Agnes. Spotkały się na dziedzińcu. Opalała piegowatą buzię z zadartym noskiem.

– Uwielbiam słońce. Czeka mnie tona prasowania – zamachała beztrosko nogami.

– Pomogę ci.

– W taką pogodę? – zmrużyła niedowierzająco kocie oczy.

Poszły do prasowalni.

– Bóg mi cię zesłał – Agnes pokazała pogniecione stogi białości. – *Cara mia* – w podnieceniu plątała francuski z rodzimym włoskim – jak się znudzisz, będę ci śpiewać – ustawiła Marię za stołem i obdarzyła parującym żelazkiem.

Rozwieszały wilgotną jeszcze, gorącą pościel na tarasie. Bielała od słońca. Trzeszczała, składana do przepastnej szafy. Agnes wypytała Marię o Paryż, modę i miłość. Kocha Juliana? Zamieszkają razem? Pogawędkę przerwał dzwonek. – Wpół do szóstej, kończymy! – zarządziła Agnes. – Chodź ze mną do kaplicy.

Ślizgały się po wywoskowanej podłodze. Chichotały, uważając, by ktoś ich nie usłyszał. Agnes wdrapała się na ołtarz jak na ulubiony parkan. – *O sole mio!* – zanuciła. – To najweselsza melodyjka, dlatego śpiewam ją Jezusowi – zapaliła świecę. Poszły do zakrystii przygotować naczynia i wino do wieczornej mszy.

Rano obudziło Marię stukanie. Wybiegła z łóżka. Za drzwiami nie było Juliana. Furtian łomotał wszystkim na pobudkę.

Po śniadaniu prasowała z Agnes. W przerwie odwiedziła Juliana. Odpoczywał po drugiej stronie muru. Twarz zakrył słomkowym kapeluszem. Zdjął koszulę. – Hej, hej! – Maria trąciła go stopą. – Nie śpij, robotniku!

Złapał ją za nogę. Przewrócił na trawę. Łaskotał źdźbłem pod bluzką. Roześmiała się głośno. Zakrył jej usta: – Ciiicho, bo cię wyrzucą z klasztoru.

Bawił się jej włosami. Zamknęła oczy, było znowu dobrze. Chciała się przytulić. Ostra trawa otarła jej szyję. – Przywiązałem cię włosami do ziemi – rozśmieszyło go zdziwienie Marii. – Teraz odpowiesz na moje pytania – zastanowił się. – Właściwie to nie mam żadnych pytań. Nie próbuj wstawać, wyrwiesz trawę z całej łąki, korzenie są zrośnięte – leżąc, gryzł gałązkę.

Maria rozplątała warkoczyki. Udawała obrażoną. Julian wstał.

– Przepraszam, że się pokaleczyłaś – nie wyglądał na zmartwionego. Odwrócił się od niej, mieszając zaprawę. Powinna odejść. Rozejrzała się bezradnie.

– Palisz? – zauważyła niedopałki rozrzucone przy murze.

– To szwajcarscy klerycy, przyjechali na weekend. Tutaj kopcą, w klasztorze nie wolno.

– Nie jesteś skory do zwierzeń, a jednak opowiadałeś o mnie diakonowi.

– Opowiadałem mu o sobie, więc może jesteś częścią mnie.

– Miło to wreszcie usłyszeć.

– Chcesz się kłócić? – podszedł do niej.

– A ty chcesz się kochać? – włożyła mu rękę za spodnie.

– Chcę być sam.

Wróciła do prasowalni i rozpłakała się. Agnes splunęła na żelazko, odstawiła je na podstawkę. – Co się stało? – przytuliła szlochającą Marię.

– Nie mogę tak dłużej. Mieliśmy się pobrać. Czy można kogoś zostawić po pięciu latach, bez powodu, bo sobie coś ubzdurał? Może kogoś ma? Wiem, histeryzuję, wstyd mi – zasłoniła twarz.

– Nie wstydź się. Jestem taka sama, przeżywam wszystko za mocno. Julian cię kocha, ale... nie pomyślałaś, że nie wygrasz z Chrystusem?

– Co? – Maria przestała płakać.

– On może ma prawdziwe powołanie – Agnes podała jej świeżo wyprasowany obrus do otarcia łez.

– Nie jest dewotem – wykrzyknęła Maria. – Przepraszam, chciałam powiedzieć, nie jest religijny. Nie, to absurd!

– Mario, dla Boga nie ma nic niemożliwego. Ze mną było podobnie. Odwiedziłam brata w seminarium. Żałowałam go, zostawił za sobą tyle przyjemności. Pożegnaliśmy się i nagle nie wiedziałam, dokąd wracać. Do swojego chłopaka? Do rodziny, szkoły?

– Zdecydowałaś się w jeden dzień?

– Nie ja zdecydowałam. Ktoś mądrzejszy ode mnie. Teraz to widzę. Wtedy nie zastanawiałam się, czy wybrać klaryski, czy norbertanki. W Rzymie jest tyle zakonów. Trafiłam do Lwa Judy. Mogłabym założyć rodzinę i też tu być, pozwala na to reguła. Jestem jednak sama i czekam na śluby zakonne. Jak się znam na ludziach, Julian wybrał drogę duchową. Nie rozmawiałam z nim, domyślam się, co przeżywa. Targuje z Bogiem, ale Bóg go nie puści. Mało jest wybranych do świętości.

– Świętości? – Maria dosłyszała w głosie Agnes egzaltację.

– Powiem ci coś, to o Julianie, więc muszę ci powiedzieć. Modliłam się w kaplicy. Na klęczkach, z głową przy ziemi. Przyszedł do mnie Jezus. Na pewno on. Nie śmiałam otworzyć oczu. Zgrzeszyłam wstydem i fałszywą pokorą. Może zwątpieniem, że gdy spojrzę, zniknie? Nieważne, trudno to komuś wytłumaczyć, jeśli sam nie przeżył. Modląc się, zrozumiałam, dlaczego Julian przyjechał do naszej wspólnoty. Ma w sobie świętość, przerastającą grzech. My jesteśmy pobożni bez zasługi. Nie to, że letni, ale zaledwie powołani. On – wybrany. Ma w sobie siłę i spokój. Będzie chlubą naszego zakonu. Mario, kochaj go tak, jak kocha Bóg. To jest prawdziwa miłość. Daj mu wolność. Bóg cię pocieszy. Jeśli pisane ci świeckie szczęście, znajdziesz je.

Refektarz jaśniał blaskiem siedmioramiennych lichtarzy. Płomienie szabasowych świec tańczyły razem z korowodem biesiadników. Pochylały się w lewo, skacząc, zawrócone gwałtownym podmuchem w prawo, skłaniały do przodu. Agnes wciągnęła Marię między pląsające zakonnice. Mężczyźni tańczyli w drugim kręgu z diakonem. Śpiewali chasydzkie melodie, przygrywał im fortepian. Julian ukłonił się jej. Mogła to być figura tańca. Maria stanęła przy drzwiach. Wycofała się na korytarz do kaplicy. O niczym nie myślała. Nic nie czuła. Czas rozpuścił się w ciemnościach. Zaskwierczał knot zapalanej świecy. Furtian oświetlał sobie drogę do zakrystii. Dostrzegł skuloną w ławce Marię.

– Widziałaś relikwie?

Maria poszła za nim. Wyjął z szuflady puzderko. Były w nim dwa zęby. Niewielkie, czerwonawe siekacze.

– Święta Calumena. Męczennica. Są czerwone od ognia, spalającego grzechy. Płoną świętą miłością. Poleć swoją prośbę Calumenie i pocałuj relikwie – podsunął je Marii pod nos. Przeżegnała się i uciekła z zakrystii. Na schodach spotkała podśpiewującą Agnes w odświętnej sukience.

– Widziałam klasztorne relikwie.

– Nie mamy relikwii – Agnes poprawiła koronki kołnierzyka.

– Furtian pokazał mi czerwone zęby świętej Calumeny.

– Nie mamy relikwii. Furtian może i modli się do jakichś zębów. Pojęcia nie mam o chłopskich zabobonach. Czerwone? – Agnes wzdrygnęła się.

– Od wylewu krwi. Jak u ofiar gwałtownej śmierci przez uduszenie – Maria zacytowała podręcznik medycyny.

Na tarasie w monotonne brzęczenie cykad wpijały się piski nietoperzy.

– Podziwiasz nocny zestaw firmowy: księżyc i gwiazdy? – Paul stanął za Marią. Rozmawiali dzisiaj w ogrodzie. W przywiązanych sznurkiem okularach tropił stonkę między grządkami ziemniaków.

– Nie mam psa, chociaż z duszą pospaceruję. Ty też? – Maria przeciągnęła się sennie.

– Po kolacji wypytywałaś o powołanie.

– Bo to ciekawe. Wszyscy mówią „nie wiem", „tak miało być", „opatrzność". Ty wiesz, dlaczego?

– Jasne. Matka czytała mi Biblię dla dzieci i ja wiedziałem, co będzie dalej. Mamo – przerywałem jej czytanie – Ewę skusi wąż, Abraham zaprowadzi Izaaka na górę.

– Niesamowite.

– Żartuję. Nieźle by było, nie?

– A jak było naprawdę?

– Po maturze pracowałem w paryskiej Virginia Megastore, w dziale literatury. Czytałem bestsellery, noble, goncourty. Byłem najbardziej oczytanym facetem we Francji. Doszedłem do wniosku, że wszystkie te książki są na wszelki wypadek o niczym. Przechodzą przez intelekt jak czopki. Gładko, ślisko, umysłowa sraczka. Nie sam byłem taki genialny. Miałem kolegę. On sprzedawał w dziale ezoterycznym. Znaleźliśmy swoje Eldorado. Magia, wiedza tajemna i moc. Eksperymentowaliśmy z kabałą. Czy w to wierzyłem? Wygłupy, ale pewnej nocy coś się pojawiło. Zarys postaci, przywołanej z podręcznika kabały. W rezultacie kolega wylądował u czubków, ja we wspólnocie. Dowiedziałem się o Lwie Judy, klasztorze podległym papieżowi, gdzie uprawia się judaizujący obrządek. Jestem katolikiem, wierzącym w Stary Testament.

– Jesteś tu ze strachu przed szpitalem dla obłąkanych.

– Nie. Z pomyłkowego objawienia. Wierzę, bo widziałem.

– Paul, czy wstępuje się do klasztoru z niewiary?

– Być niewierzącym w klasztorze?

– Tak.

– Są ludzie, wątpiący całe życie. Nazywać to zaraz niewiarą?

– Mów do mnie prościej. Jestem zwykłą dentystką.

– Ja też jestem zwykłym człowiekiem. W dodatku boli mnie ząb mądrości – dotknął policzka.

– Tu jest ciemno, nie zobaczę.

– Nie trzeba, wiem, co mi jest. Ucisk mózgu na duszę podrażnił nerw.

– Idę spać.

Julian był na sobotniej konferencji z diakonem. Maria zwiedzała miasteczko.

Dusiła się szeptem, przyciszonymi głosami w klasztorze. Zmęczyła przemykaniem wzdłuż korytarzy. Straciła nadzieję na prawdziwą rozmowę z Julianem. Nie wierzyła w jego nagłe powołanie. Gdyby coś się stało, doznał objawienia. Ale z dnia na dzień? Ze studenta socjologii – zakonnikiem? Od czytania pobożnych książek nie zostaje się świętym. Bzdury, po wakacjach wróci do Paryża i w knajpie na placu Sorbony pochwali się: – Badałem „wspólnoty alternatywne". – Ojciec Marii uważał Juliana za dziwaka. – Zostanie naukowcem albo kloszardem. Miły, uroczy, ale zupełnie bez charakteru. Dobraliście się: on nie umie żyć, ty nie umiesz żyć bez niego. Co ty w nim widzisz?

Julian był pierwszy. Miał w sobie kobiecą delikatność i męską mądrość. Potem byli inni, krótkie przygody dla sprawdzenia, czym naprawdę jest seks. Kończyły się udawanym orgazmem. Dobrze było tylko z Julianem.

Obeszła w kwadrans średniowieczne miasteczko. Zajrzała do restauracji.

– Dzień dobry, panienko – zawołał do niej starszy mężczyzna, stojący przy kontuarze.

– Aaa, to pan! – ucieszyła się. – Dzień dobry. Mogę zaprosić na piwo w rewanżu za podwiezienie?

– Udał się pobyt? – zrobił jej miejsce, odsuwając puste szklanki.

– Bardzo tu ładnie.

– Julian pewnie się ucieszył z odwiedzin.

– Nieźle pan zorientowany. Na prowincji nic nie da się ukryć?

– Niestety, da, i to tak dobrze, że czasem śledztwo trwa latami. Proszę wybaczyć, nie przedstawiłem się. Komisarz Carden.

– W takiej spokojnej mieścinie niewiele ma pan do roboty, prawda? – pytała z grzeczności. Zastanawiała się, czy będzie miała przed wieczorem pociąg do Tuluzy.

– Dla paryżanki jeden trup to niewiele? – Carden popijał piwo.

– Jaki trup?

– Zamordowanej dziewczyny. Znaleziono ją na wzgórzu pod murem, dwa tygodnie temu. Nie mówili o tym w klasztorze?

– To straszne – wyjąkała.

– Żadnych śladów. Uduszenie. Nie wiadomo, kim była, nikt jej nie widział w okolicy.

– Ile miała lat?

– Między szesnaście a osiemnaście.

– Zupełnie nic nie wiadomo?

Carden spojrzał na bladą Marię. – Przestraszyłem panienkę. Proszę się napić, teraz ja zapraszam.

– Nie, nie – zaprotestowała trochę za głośno. – Muszę już iść. Dzisiaj wyjeżdżam.

Julian czekał przy mikrobusie.

– Pożegnałam wszystkich. Możemy jechać.

Prowadził ostrożnie, żeby nie wypaść z górskiej drogi.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o tej zabitej dziewczynie?

– Po co miałem mówić? Straszyć cię?

– Ostrzec. Robicie z tego tajemnicę.

– Zwariowałaś? Znaleziono ją za murem. Mnóstwo rzeczy dzieje się poza klasztorem. Nie przejmowałaś się nigdy kroniką kryminalną – pokonywał zarzuty Marii równie łatwo, jak zakręty.

– Dotąd nikogo nie zabito pod moim domem.

– Nie ekscytuj się. Agresja jest efektem udomowienia człowieka.

– Nigdy nie myślałeś o tej dziewczynie? Paciorek i z głowy?

– Myślałem. Szesnaście lat mają hinduscy bogowie. Potem zaczyna się umieranie.

Dojeżdżali do dworca.

– Julian, co się z tobą dzieje?! Przy klasztorze znajdują trupa. A ty mi bajki opowiadasz.

– Czegoś byś chciała? Moralnego potępienia zabójcy? Ta dziewczyna nie ma imienia, niczego. Znaleziono na wzgórzu martwe ciało.

– Zbrodnia doskonała, czy doskonała obojętność?

– Nie wierzę w doskonałość. W porównaniu z ludźmi tylko Bóg jest doskonały – Julian zahamował.

– Ty nawet w Boga nie wierzysz – Maria trzasnęła drzwiami.

Nie żegnali się. Musieliby powiedzieć sobie „do zobaczenia". Do zobaczenia kiedy? Maria nie pytała. Pocałowała go w policzek.

Julian patrzył na odjeżdżający pociąg. Albo się wierzy, albo nie. On był pośrodku. Pozwalał prowadzić się zdarzeniom. Być może szale wagi nigdy się nie przechylą. Nie strącą go, ani

nie wyniosą do łaski. Cokolwiek się działo, przyjmował to za znak. Na razie doznał stygmatów obojętności.

Nie wiedział, kim jest. Być może zabił, żeby się przekonać. Gdyby dziewczyna miała imię, życiorys, brzydziłby się pospolitym morderstwem. O ile trudniej zamordować kogoś, kto nie istnieje. Mógł zabić ktoś inny. Dla Juliana byłoby lepiej, gdyby to jednak był on. Gdyby wreszcie zadusił ironię. Tę intelektualną nieufność, przyglądającą się światu. Tam, gdzie zjawia się ona, nic nie jest prawdziwe. Nie można już brać siebie serio. Kiedyś był Bóg. Gdy wynaleziono perspektywę, skurczył się w renesansowym malarstwie. W baroku, człowiekopodobny, ukrywał się już za światłocieniem. Klasycystyczna dosłowność pasowała greckim maskom, nie Jego Obliczu. Romantyczna ironia stała się dla Niego groźniejsza od renesansowej perspektywy, pomniejszającej dostojeństwo stworzenia. Zgniotła proporcje. Z Nieba, tej kryjówki wieczności, wygnała Boga. Odległość między Nim a człowiekiem zastąpiła wiecznym dystansem. Groteskowym uśmiechem, trzymającym człowieka na dystans od samego siebie. Ta odległość jest złudna. Dlatego podróż Marii nie potrzebowała czasu ani przestrzeni, jedynie ironii losu.

IKONA

Zimą zmarł Józef Czapski. Malarz, pisarz, wielka osobowość. Strata dla polskiej kultury, jeszcze większa dla mnie. Z czego teraz żyć?

Byłam jego sekretarzem. Zastanawiałam się, czy nie wydrukować sobie w automacie wizytówek z napisem: „Sekretarz Czapskiego". Pewnie bym tak zrobiła, ale nie miałam pieniędzy. Dlatego zgłosiłam się do tej pracy. Zarabiałam na godzinę tyle, co sprzątaczka. Za takie pieniądze nikomu, kto umiał czytać i pisać po francusku, nie chciałoby się dwa razy w tygodniu przed południem jechać pociągiem do podparyskiego Maisons-Laffitte. Gospodyni Czapskiego patrzyła na mnie z nieufnością chłopskiej służącej. Przyjęła do pracy, bo pan miał zawsze sekretarza. Chociaż od pewnego czasu nie odpowiadał już na listy, przyjmowane z równym roztargnieniem, co spóźnione honory.

– Ordery dla mnie? Od prezydenta? – cieszył się nimi chwilę i odkładał, gdzie ich miejsce: do szuflady pamięci, pełnej dziecięcych wspomnień, żołnierzyków i odznaczeń.

– Ja? Mam *honoris causa*? A gdzie? – obmacywał się niepewnie wychudłymi dłońmi.

Byłam znakomitym sekretarzem. Zaprawiając się wieczorami na placu Saint Michel wyżebranymi jointami z haszem, doskonale rozumiałam zaniki pamięci Czapskiego. Czekałam cicho 5–10 minut, by wynurzył się spośród odmętów nieświadomości z błyskiem w pokrytym bielmem oku jak z bezcenną, jeszcze mokrą perłą.

– ...nął przed bramą – podejmowałam czytanie w tym samym miejscu, gdzie skończyłam, by mu nie przeszkadzać. Czytałam bardzo głośno. W kółko to samo. Wspomnienia z obozów jenieckich w Rosji, bitwy pod Monte Cassino, z arystokratycznego dzieciństwa na Kresach i komuny tołstojowskiej podczas pierwszej wojny światowej. Dopowiadał, czego nie wypadało napisać: „Wujek spod Mińska nie był dziwak, jeno alkoholik. Mój romans z Achmatową?" – uśmiechał się pobłażliwie. Nigdy nie pragnął kobiet.

Latem przesuwał zmarznięte dłonie za plamami słońca, zsuwającymi się z otulającego go koca. Znikały szybko pod szafą, rozświetlając za sobą smugę kurzu na drewnianej podłodze. Zdarzało się, że chciał wybiec z pokoju. Śniło mu się, że może chodzić. Nie narzekał, nie skarżył się. Nigdy nie mówił o śmierci, był na to za dobrze wychowany.

Od czytania zasychało mi w ustach. Po godzinie lektury miałam prawo do odpoczynku, szklanki herbaty, paru herbatników. Przerywałam lekturę, kiedy Czapski przysypiał. Przedłużająca się cisza upewniała gospodynię, że należy zrezygnować z sekretarza albo skrócić mu godziny pracy. Przynosząc herbatę, złośliwie dogadywała: „No i co, nie napracowaliśmy się dzisiaj?" Wrzeszczałam więc dwie godziny, nie zważając, czy Czapski słucha. Słuchała w kuchni gospodyni, przeliczając mój ból gardła na franki. Tygodniówkę wydawałam na dziesięć mrożonych hamburgerów, paczkę masła, bochenek chleba, dżem, herbatę i bilet metra. Wychodząc od Czapskiego, zbierałam przed domem z ziemi soczyste owoce morwy. Miały mi starczyć do popołudnia, gdy rozmrażałam hamburgera.

Na stole u Czapskiego leżały drogie czekoladki. Podbierałam je z pudełka. Gdyby nie podejrzliwe spojrzenie gospodyni, zjadłabym wszystkie. Stałam się mistrzem podrabiania objętości, poluzowując obcisłe złotka, rozgniatając czekoladę. Obiad podawano po moim wyjściu. Sądzę, że nie powstrzymałabym się i korzystając ze ślepoty starca, wyjadałabym mu z talerza parujący kleik.

Jesienią, jak co roku, zastrajkowali kolejarze. Zamiast rano, przyjechałam do Czapskiego wieczorem. Gospodyni poszła do kościoła. Nie musiałam wykrzykiwać na cały dom: „Starobielsk! Katyń! Dostojewski i Tołstoj!" Opowiadałam rysunki. „Tu jest Picasso z Bonnardem. »Jedzą śniadanie. Dyskutują« – tak pan podpisał. Tutaj, w tym małym notesie, szkic krajobrazu za oknem."

– Aha, pamiętam. Zmęczyłem się już, dziecko, obrazami. Poczytaj.

Spokojnie, wczuwając się, przeczytałam o jenieckiej wigilii na Syberii. Czapski usłyszał moje łzy. Wzruszył się moim wzruszeniem.

– No, to się napijmy – wyciągnął długie palce w stronę biurka, gdzie stały butelki. Nalałam mu koniaku.

– Ty, dziecko, też.

Wypiliśmy kilka toastów: za szczęście, za piękno i sprawiedliwość. Zaszumiało mi w głowie. Alkohol wypłukuje głód i rozsądek. Wypiliśmy jeszcze pół butelki wina.

– Pan ma mocną głowę, ja się upiłam.

Czapski już nie słuchał, czekał na następną szklankę. Nalałam mu i wyszłam, uważając, by nie spaść ze stromych schodów. Następnym razem gospodyni czatowała na mnie przy furtce: – Ty się uważasz za równą Czapskiemu?! Żeby z nim pić!? On ma prawie sto lat, mógł umrzeć!

– Skoro prosił, żeby mu nalać, dlaczego miałam odmówić? – broniłam się. Wyrzuciłaby mnie, ale nie znalazłaby nikogo na moje miejsce.

Tamtego pijanego wieczoru szczęśliwy starzec pląsał w swoich marzeniach, przebierając piszczelami pod pętającym go pledem. Nie zaznał podobnego szczęścia po rosołku pichconym przez gospodynię. Była zazdrosna o być może ostatnią zmysłową uciechę Józefa Czapskiego. Poczciwa, zawzięta baba w blasku rondli, majestacie obiadu.

Czapski umarł zimą. Pożegnalne mowy, pijani grabarze nie potrafiący wykopać w zmarzniętej ziemi dziury wystarczająco dużej dla dwumetrowego nieboszczyka. Trumna wciąż unosiła się na powierzchni, nie chcąc zatonąć. Żałobnicy tupali i chuchali dla rozgrzewki w ręce. Dopiero przy zachodzącym słońcu udało się wepchnąć trumnę w podziemną krainę. Marzyłam o pradawnych ceremoniach pogrzebowych, gdy wraz z panem i władcą chowano jego dwór: żony, kucharzy, skrybów, konie i psy. Gospodyni, dogorywająca z głodu w komorze grobowca. Efebowie, zamurowani przy sarkofagu. Ja, zapadająca błogo w przedawkowane wizje gdzieś pod ścianą, wymalowaną w stylizowane na antyk maki. Czyż może być piękniejsza śmierć niż z wierności? A tak naprawdę z niepotrzebności, bo z czego miał żyć po śmierci Czapskiego jego ostatni sekretarz? Z korepetycji polskiego, rosyjskiego, serbsko-chorwackiego? Z pracy dyplomowej w wyższej szkole nauk społecznych o przenikaniu gnozy judeochrześcijańskiej do ludowych wierzeń środkowej Francji w XIII wieku?

Przygarnęła mnie Ilonka. W jej domu przy Montparnasie koczowali Polacy i Rosjanie. Stypendyści oszczędzający na hotelu, robotnicy szukający roboty. Nie sądzę, by gościnność Ilonki była nostalgią za przeszłością. Nie pamiętała wiele z Polski, skąd wyjechała jako dziecko.

Po prostu Ilonka była z natury dobra i piękna. Mieszkając u niej dłużej niż miesiąc, mogłam liczyć na to, że załatwi mi pracę. Moje łóżko zająłby wtedy ktoś bardziej potrzebujący i beznadziejny. Chociażby rosyjski „idiota". Ilonka pracowała we francusko-rosyjskim wydawnictwie „Wieroczka". Hodowała u siebie rosyjską kolonię poetów, samobójców, nawiedzonych. Najlepiej zapamiętałam wybitnego aktora, którego ciągle ubywało. Chorował na straszne paskudztwo. Jedynym lekarstwem była amputacja nóg. Nie całych od razu. Plasterek po plasterku, w miarę rozwoju choroby.

Pulchna, ciemnowłosa Ilonka z haftowaną chustą na ramionach wirowała w tańcu między swymi gośćmi. Zaglądała zielonymi oczyma w głąb ich słowiańskich dusz, sprawdzając gospodarnie, czy aby czego im nie trzeba. Objadali jej lodówkę. Nieważne: majonez, pasztet z gęsich wątróbek, salceson. Byle dużo, głód ojczyzny. Przychodzili i tacy, co nie uważali tego domu za przechowalnię lub garkuchnię. Rudzielec nie był w stanie przełknąć poczęstunku czy przemówić. Jeśli zebrał się na odwagę, by spojrzeć na Ilonkę, czerwienił się i znowu wbijał oczy w stół. Ale jak on na nią patrzył! Tak patrzy się na podniesioną hostię, gdy trzeba uklęknąć i w ciszy wyszeptać: „Powiedz tylko słowo, a moja dusza będzie Twoja".

Nie było jednak ciszy. Goście pijacko bełkotali, wykrzykiwali pogróżki w otwarte okno, w uszy nie rozumiejących bólu duszy Francuzów. Rudzielec miał rację. Ilonka była święta. Znalazła mi pracę w hotelu, niedaleko placu Saint Michel, po stronie Dzielnicy Łacińskiej. Właściciel miał dług u jej żydowskich kuzynów.

Hotel Ravijac był ruiną. Bez windy, z łazienkami na korytarzu. Sześć pięter kurzu, zbutwiałych dywanów. W pokojach, wynajmowanych przez zabłąkanych turystów i sezonowych robotników, jedynym luksusem były lustra nad nieczynnymi kominkami. Pracowałam z czterdziestoletnią portugalską wdową. Za każdym razem, gdy wchodziłyśmy do pokojów, obrzucała fachowym spojrzeniem plecaki i rozrzucone drobiazgi. – Ameryka – klęła z podziwu nad cudzą zamożnością. – Zobacz! – pokazywała zostawione na szafce zdjęcia z Grecji, Rzymu. Roześmiane dziewczyny w stanikach, opaleni chłopcy uśmiechali się bezmyślnie z Akropolu, ze swojego głupawego życia. Pisali pamiętniki, naćkane wykrzyknikami: „Byliśmy dzisiaj na Montmartrze! Dużo artystów. Pięknie!"

W dziesięć minut ścieliłyśmy łóżko i omiatałyśmy patynę brudu. Po dwóch piętrach miałam dość. Spocona, wlokłam się coraz wolniej na górę, potykając o rurę odkurzacza. Portugalka, chwiejąc się na wysokich obcasach, świergoliła, dźwigając kosze pościeli. Opowiadała, jak oprawi zdjęcie Riviery Francuskiej, wycięte z „Paris Matcha". – Bo ludzie muszą mieć coś z życia, nie tylko harówę, ładny widoczek też.

Każdy hotel ukrywa swoje sekrety. Zbyt długo tajone, stają się niekiedy skandalem, drukowanym na pierwszej stronie popołudniówek: „Cudzy wisielec w łazience" albo „Hotelowy kucharz przyrządził psa". O wypadku w Ravijac nie dowiedziała się nawet firma ubezpieczeniowa. Nocą z niedzieli na poniedziałek gość spod dziewiątki o mało się nie zabił, wstając zbyt gwałtownie z łóżka. Szukając po ciemku pantofli, walnął stopą w podłogę i zrobił dziurę do pokoju numer 4. Nie spadł, dywan zablokował wyrwę. Oddano mu pieniądze, na drogę dołożono butelkę szampana. Szczęśliwym trafem czwórka była tej nocy wolna. Zebrałyśmy gruz, zaścielający puste łóżko. – Byłyby dwa trupy. Ten z góry i ten z dołu. Dwa – Portugalka upewniała się w swoich rachubach. – No chyba, że na łóżku w czwórce spałaby para – to trzy. Patron poszedłby do kryminału. Już dawno powinien zrobić remont tego próchna. Ale pieniędzy mu żal. Nam też żałuje, kutwa. Zabiłby niewinnych ludzi.

O drugim sekrecie „Ravijac" dowiedziałam się po miesiącu. Wtajemniczano mnie powoli, sprawdzając, czy zniosę prawdę. Pokój 12 wynajmowano na stałe. Nie rozumiałam, komu opłaca się gnieździć we wszawym hoteliku za cenę czynszu dwupokojowego apartamentu. Portugalka najpierw mnie zbyła: – Płacą, ich sprawa.

Któregoś dnia, zmieniając w dwunastce zaplamione prześcieradła, nie wytrzymała.

– Wstyd i obraza boska. Wiesz, ile ona ma lat? Pięćdziesiąt prawie. A on? Nie ma osiemnastu.

Zaczaiłam się przy recepcji, podpatrzeć tajemniczą parę, schodzącą na śniadanie. Właściciel hotelu uważał, że piękna kobieta z dwunastki jest matką małolata. Przy meldunku widział ich papiery. Uciekli chyba z domu przed ojcem pijakiem. Oboje pracują. Wychodzą rano, wracają wieczorem. Biedni, uczciwi ludzie. Portugalka śmiała się z łatwowierności patrona. – Pokojówka wie swoje. Nie on sprząta po nich brudy. Z samego prześcieradła mogę ci powiedzieć, ile razy i jak goście się pieprzyli. Kochanka sobie znalazła, stara prukwa.

Na korytarzu, w jadalni, kochankowie udawali obojętność. Kobieta nie patrzyła nikomu w oczy. Jej smagła twarz była nieruchoma, spokojem dojrzałej, pewnej siebie urody. Czarne włosy upinała w kok. Nerwowo przygryzała dolną wargę, pąsowiejącą jak po drapieżnym pocałunku. Nie mogła być matką tego bladego chłopaka o niebieskich, lekko skośnych oczach i niemal białych włosach. Nie byli do siebie w niczym podobni. Chociaż wydawali się jednakowi. Podobieństwem kochanków tak samo uśmiechających się do siebie, pragnących w tym samym momencie otrzeć się ręką, spojrzeniem.

Zarabiałam 200 franków dziennie. Wynajęłam pokój bez ciepłej wody, ale z lodówką. Leżąc na łóżku, dotykałam głową jej zimnych drzwi. Stopy opierałam o drewniane drzwi wejściowe. Rozłożone ręce wyznaczały szerokość mojej posiadłości od ściany do olbrzymiego okna.

Kończyły się wakacje, hotel pustoszał. Zostali kochankowie spod dwunastki. Na krótko meldowali się sezonowi robotnicy, pijący nocami wino z pudełek. Portugalka potrzebowała mojej pomocy dwa, trzy razy w tygodniu. Nie mogąc zmniejszyć wymiarów mej izdebki, oszczędzałam na długości bagietek i częstotliwości obiadów.

W potrzebie poszłam odwiedzić Ilonkę. Targ na jej ulicy zaczynał się o siódmej rano. Emerytowana prostytutka w grubych okularach, spod których błyszczał jaskrawy makijaż, zmieniła rewir i z pobliskiej kurewskiej ulicy przeszła na targowisko. Wywrzaskiwała nad wózkiem truskawek: „Kupuuujcie, kupuuujcie moje truskaweczki słodsze od pipeczki!!! Kto ciupcia truskawki, ten śliczny i gładki!!!". Najdrobniejsza zmiana jej repertuaru wywoływała szmer uznania wśród handlarzy, powtarzających do znudzenia: „Ryby, tanie ryby! Banany za pół darmo!". Widywałam ją wieczorami pijaną, daleko od dzielnicy, w pobliżu bulwarów. Szła, dziarsko wymachując torebką i poklepując przechodniów. Szczątki loczków trzęsły się na łysiejącej głowie. Zalana kopia pani Thatcher.

U Ilonki ucztowano. Ona, zajęta pracą, pochylała się nad komputerem w pokoju przy kuchni. Dwudziestowieczna wyrobnica, zabierająca robotę do domu. Goście raczyli się ziemniakami i tanimi melonami z targu.

– Nalejcie sobie herbaty! – zawołała i wróciła do chałupnictwa: stuk stuk, stuk stuk. Dwóch Rosjan zapaliło na deser śmierdzące skręty i szurając wyszło. Został Polak nad zimnymi ziemniakami w mundurkach. Był fotografem, próbującym załatwić sobie we Francji wystawę albo stypendium. Do jedzenia zdjął kolię aparatów. Został mu tylko wisiorek światłomierza na zapoconym podkoszulku. Wziął w palce ziemniaka. Patrząc na niego, czknął. Przyzwyczaiłam się do pijackich monologów gości Ilonki.

– O, podziemna bogini – fotograf mówił stanowczo. Wyraźnie o coś mu szło. Głos zadrżał. – Wielooka, wielopiersna, nie, wielopiersiowa – poprawił się, zerkając, czy Ilonka go słucha. – Pożywna, krągła, otyła – obracał bulwę. Trafił w czuły punkt. Ilonka drgnęła na słowo „otyła". Bezskutecznie się odchudzała.

– Matko nasza podziemna, żywicielko. Bogini Pyrro. My, zamiast pokornie klękać przed tobą w bruzdach, zadzieramy głowy i mówimy do żydów... do judejskiego boga: Ojcze nasz...

Fotograf odłożył z szacunkiem ziemniaka na talerz. Ilonka stukała jeszcze głośniej. Nie doczekawszy się jej łaskawego spojrzenia, wyszedł, trzaskając drzwiami.

– A temu co?

– Chyba zazdrosny – Ilonka zamknęła drzwi na klucz. – Nic nie wiesz? Gdzie się podziewałaś?

– Pracowałam. Co mam wiedzieć?

– Wychodzę za mąż. W synagodze – oznajmiła spokojnie. Zapowiedziała konieczność oczywistości. Po dwóch, trzech nieudanych narzeczeństwach żyła w świętym celibacie. I tak nagle...

– Łoj! – westchnęłam. – Za kogo?

– Przemiły chłopak. Inżynier z Lyonu.

– Inżynier? – coś mi nie pasowało. Rozpoetyzowana Ilonka z inżynierem?

– Gdzie go poznałaś?

– Znajomy kuzynów.

– Tych, co załatwili mi pracę w hotelu?

– Ehe. Mówię ci, cudny.

– Nie będzie ci nudno z inżynierem?

– Przecież to wspaniale, uzupełniać się zainteresowaniami.

– Mijać – dogadywałam bez sensu. Inżynier dużo zarabia, pieniądze nigdy nie są nudne.

Ślub miał być za dwa miesiące. Ceremonię z baldachimem i rabinem zażyczył sobie inżynier. Dla niewierzącej Ilonki, wychowanej w fundamentalistycznie laickich szkołach Francji, obrzędy były skansenem. Tłuczenie kieliszków, rytuały wygłaszane w starożytnym języku traktowała o tyle poważnie, że dotyczyły jej ślubu. Równie dobrze mogły być odprawiane w suahili. Przerażało ją trochę spotkanie z rabinem. Ucieszyła się moimi odwiedzinami. Pomyślała, że skoro mam dyplom z gnozy judeochrześcijańskiej, pomogę jej przebrnąć przez nauki przedmałżeńskie.

Rabin chciał zobaczyć narzeczoną. Ilonka ubrała się w długą, połyskliwą sukienkę, zaplotła włosy w warkocz i narzuciła sweterek, kupiony na bazarze. Tak mniej więcej wyobrażałyśmy sobie porządną, przedwojenną narzeczoną z gminy.

Rabin był reformowany i nieortodoksyjny. Wizyta przedmałżeńska – formalnością. Czekałam na korytarzu biura rabinackiego w zamożnej XVI dzielnicy. Zza drzwi gabinetu dobiegał coraz bardziej zirytowany męski głos: – Wszyscy teraz pchają się do synagogi na ślub. Nie ma ich w żadnym spisie! Mykwę mylą z micwą, ale co tam, tradycja modna!

– Ważna jest duchowość – wtrąciła Ilonka.

– O czym pani mówi? Pani pojęcia nie ma, co to duchowość! Pani nawet do stołu nie umie podać w szabas!

– Przepraszam bardzo, proszę sobie przypomnieć Simone Weil. Żydówka, ale jej przemyślenia duchowe objęły szerszą duchowość, zafascynowały chrześcijan i ludzi niewierzących.

– Coo?! – donośny gniew potomka rodu Levi wstrząsnął murami gabinetu – Co mi pani będzie za przykłady dawać! Simone Weil, ta niedokłuta wariatka?!

Wybiegłyśmy z biura. Ilonka miała łzy w oczach. – Fanatyk, nienormalny fanatyk! Zatrzymałyśmy się w połowie Champs-Elysées przy budce z lodami.

Rabina ułagodzili kuzyni narzeczonej. Inżynier obiecał zająć się jej nawróceniem. Wyprawiono piękny ślub, pod jedwabnym baldachimem, przy świecach. Kupiłam w prezencie filiżanki od Rosenthala. Stać mnie było. Ilonka wyszukała mi nową pracę. Zostałam lektorką osiemdziesięcioletniego rosyjskiego księcia, Władimira Kołdunowa. W hotelu nadal rzadko kiedy bywał komplet. Chodziłam tam rano sprzątać raz, dwa razy na tydzień.

– Kołdunow to człowiek o wielkiej, wielkiej wyobraźni – Ilonka napawała się ogromem jego wielkopańskiej fantazji. – Między nami mówiąc – dodała szybko – wariat. Źle ci u niego nie będzie. Nie pytaj go tylko o żonę. Jakaś nieciekawa historia. Poprzedniego lektora, studenta z Rosji, wyrzucił za kryptokomunizm. Biali Rosjanie pracować u niego nie będą, bo ich już nie ma. Od kilku pokoleń są Francuzami.

Podejrzewano, że Kołdunow żyje z handlu ikonami. Bywał bogaty, zapraszał wtedy prawosławnych dostojników na kawior i szampana. Potem nie miał ani grosza na zapłacenie służby czy na własne skromne utrzymanie. Po jakimś czasie znowu szastał pieniędzmi. Mówił, że wybiera procenty z banku. Wydaje i czeka na następną ratę. Wydawał dużo. Miał kucharkę, sprzątaczkę, lektora i śpiewaka cerkiewnego. Ze śpiewakiem mijałam się na marmurowych schodach kamienicy. Przychodząc punktualnie, słuchałam ostatnich pieśni. – Dawaj, dawaj, Sierioża! – pohukiwał Kołdunow. – Jezus słucha!

Wysoki, chudy jak piszczałka organów Sierioża kłaniał się i znikał bez słowa. Nie znałam jego „mówionego" głosu. Pamiętam ten śpiewany, niby z instrumentu.

Pierwszy wieczór u księcia był krótki. Zapytał, czy mam referencje. Wprawdzie polecała mnie Ilonka, ale pismo to pismo.

– Mój chlebodawca nie żyje. Sekretarzowałam u Czapskiego.

– Znaju, znaju. Bojar Czapski. Jego matka nie z naszych stron, z von Huttenów?

– Tak, Władimirze Dymitrowiczu.

– Ikon nie malował? Zapadnik, nu?

– Tak, Dymitrze Władimirowiczu – myliłam jeszcze imię z otczestwem.

Z początku nie chciał, żebym zostawała dłużej. Musiał przywyknąć. Po tygodniu siedziałam już umówione dwie godziny każdego wieczora. Czytałam mu po rosyjsku i francusku książki o ikonach. Uwielbiał Florenskiego. Najbardziej cenił Bułgakowa. Słuchając, rozglądał się po zawalonym ikonami salonie. Wydawało mi się, że co jakiś czas je przestawia. Dopiero później, gdy zaczęłam odróżniać „deski", spostrzegłam, że stare znikają. Na ich miejsce pojawiały się nowe. Lubiłam, kiedy przerywał mi lekturę. Dyskutował wtedy sam ze sobą, znajdując w sobie godnego przeciwnika: – Nie, nie, siostra Joanna, dla świata Julia Nikołajewna, nie powinna uczyć się we Francji u tego pajaca Maurice'a Denisa. Rosji nauczyła się w Petersburgu, a potem u swego ojca duchowego Sergiusza Bułgakowa, i to było dobre. Co w jej obrazach ciemne – od francuskich szkół. Z nich skaza jej została. Zapadnikom się przez to podoba, bo do nich podobna w tej ciemności. W prawdziwej ikonie nie ma miejsca na ciemność i cienie. Wszystko w niej jasne, przepalone światłem chwały – Kołdunow zlizywał ze srebrnej łyżeczki różaną konfiturę. Podniecając się rozważaniami, odkładał łyżeczkę na wykrochmalona serwetę i przechylał słoik prosto do ust. Słowa cichły, rozpuszczały się w słodkim gulgocie. – Z drugiej strony – podejmował przerwany wątek – Julia Nikołajewna mogła mieć rację. Panu Bogu świeczkę, diabłu ogarek. Gdyby malowała po rusku, nie rozumieliby jej.

Kołdunow opuszczał głowę i palcem z ciężkim sygnetem dawał znak, żeby czytać dalej. Przerzucał w powietrzu niewidzialną kartkę. Przysuwałam się do mosiężnej lampy, oświetlającej skąpo olbrzymi salon. Na masywnym biurku leżał stos gazet i papierów, na nich metalowy przycisk w kształcie dłoni. Papierzyska i tak wymykały się, spadając w puszysty, wschodni dywan. Kołdunow, opatulony szlafrokiem, siedział na wyścielanym krześle pośrodku pokoju. Oglądał rozwieszone wokół ikony. Przyglądał się im kolejno, jakby czytał strony książki. Czasami przestawiał krzesło, przybliżał, oddalał od ściany. Siwe, przycięte krótko włosy podkreślały opuchliznę twarzy.

Nikt nam nie przeszkadzał. Służba wychodziła po południu. Nie dzwonił telefon. Siedzieliśmy odcięci od świata. Aksamitne, ciemne zasłony tłumiły odgłosy spokojnej ulicy. Kołdunow palił cygaretki. Ich duszący zapach mieszał się z mdlącą mazią róż z wiecznie otwartego słoika konfitur. Moje włosy, skóra pachniały tą kadzidlaną wędzonką. Wolałam jednak zapach domu Kołdunowa od zapaszku zbutwiałego hotelu. Prześcieradeł, nasączonych smrodem spoconych ciał. Otwierałam w sprzątanym pokoju okno i ściągałam kołdrę. Wracałam po kwadransie, gdy wyparował ciepły odór. Zdarzały się czyste łóżka, ze świeżą pościelą. Amerykańskie turystki pachniały tanimi dezodorantami albo mydłem. Kochankowie spod dwunastki myli się rzadko. Plamy na prześcieradle wydawały się przysypane pudrem, startym z jej ciała. On pachniał czymś cierpkim, chorobliwym. – O, łajdaczka! – zauważała z satysfakcją Portugalka, znajdując ślad szminki pod kołdrą, pośrodku prześcieradła. – Wyssie do cna chudziaka.

Po co grzebałam się w cudzych brudach? U Kołdunowa zarabiałam dość dużo, ale miał swoje dziwactwa, humory. W ciągu sekundy, bez powodu potrafił zmienić się z dobrodusznego starca w rozkapryszonego starucha. Bałam się, że mnie wyrzuci, ot tak sobie, z bojarskiej fantazji.

Pieniądze nie były moim bogiem. Kupowałam za nie chleb powszedni, nic ponadto. Skromne życie samotnej kobiety. Ubranie z przeceny. Tylko buty musiały być porządne, dobrej firmy. Tanie rozczłapywały się po tygodniu, traciły fason. Chodziłam do kina, kupowałam gazety. Nie wpadałam do bistra na kawę, rzuciłam palenie.

Tuż przed wypłatą powtarzał się sen: stoję w kolejce, w monstrualnym gmachu. Przede mną spieszący się faceci w garniturach z teczkami. Dochodzę wreszcie do księdza, udzielającego komunii. Wyjmuje z kielicha błyszczącą hostię, kładzie na język. Próbuję ją przełknąć i

krztuszę się. Wypluwam monetę. Ludzie wokół połykają podane im pieniądze. Niektórzy klękają i żarliwie się modlą. Moneta wychodzi im z tyłu głowy, właściwie nie głowy, lecz skarbonki i rośnie w metaliczną aureolę.

Kołdunow źle znosił zimę. Już jesienią miał napady melancholii. Czułam od niego alkohol, łzawiły mu oczy. Kazał sobie czytać romanse na przemian z Biblią.

– Jakiego jesteś wyznania? – zapytał zaczepnie.

– Katoliczka – odpowiedziałam. Przecież wiedział.

– A ja ci powiem, że wszystko krętactwo. Katolicyzm, protestanci. Droga chrześcijan do Boga jest prosta jak procesja. A na przedzie niosą ikonę – machnął ręką i o mało nie stłukł porcelanowej filiżanki, zaczepiając o nią sygnetem. – Mów, co chcesz. Długo żyję, niejedno widziałem. Rodzinę bolszewicy mi wymordowali i wiary nie straciłem. Ale ci kapłani, pastorzy, księża wsio rawno. Celebrują siebie samych pod pretekstem religii.

– Popi też?

– A co, niby lepsi? Tylko ikona jest znakiem bożym na ziemi, lustrem świętości – recytował.

Zrozumiałam: Kołdunow wierzył w ikonę. Nie był religijny, był wierzący.

Chwycił filiżankę. Wyżłopał gorącą herbatę. Wiedziałam, że po takim piciu herbaty do końca wieczoru będzie przemawiał. Odłożyłam książkę. Nalał sobie raz jeszcze z elektrycznego samowara. Coś zadźwięczało znajomo. Obluzowana sztuczna szczęka Kołdunowa zagruchotała w porcelanie. Wciągnął ją razem z resztką wrzątku.

– W obrazie najważniejsze jest światło. Światłem duszy są oczy, więc najważniejsze jest spojrzenie. Ikona patrzy. Oczy Chrystusa, świętych z ikony przewiercają ci na wskroś duszę. Najpierw jest deska – Kołdunow wyciął ją rękoma z powietrza. – Z deski cieknie żywica. To łzy drzewa świętego, na którym zawisł Pan Nasz. Każde drzewo w Rosji ma w sobie ikonę, co z nim rośnie, płacze pod korą. Nabożny artysta widzi znaki odciśnięte w drzewie i je odrysowuje woskiem i farbami dla niewidomych duchem. W ikonie spotyka się to, co zazwyczaj rozdzielone: dobro, piękno, miłość. A idź już – nagle się zniecierpliwił. – Nie przychodź jutro. Za tydzień, o zwykłej porze. Ludzi przyjmować będę rano i po południu. Zmęczony jestem. Idź już – nawet na mnie nie spojrzał. Czekał, aż zamknę za sobą drzwi.

Kogo przyjmował? Gości? Interesantów? Na pewno spotykał się z popami cerkwi św. Sergiusza w XII dzielnicy. Widziałam na biurku Kołdunowa tutejszą rosyjską gazetę. Wielkie zdjęcie i tytuł z pierwszej strony; „Dobroczyńca prawosławia, kniaź Dmitrij Kołdunow, wspomógł remont cerkwi". Wydał pewnie majątek. Okolicznościowe zdjęcia, kanon uroczystych póz. Najlepsza, niewielka fotografia na samym dole: dobroczyńca rozmawia ze słynnym egzorcystą, ojcem Michaiłem. Pop ma spojrzenie z dna piekła. Próbuje uśmiechnąć się do rubasznego księcia i wykrzywia usta.

Inżynier – mąż Ilonki wściekł się. Przegonił wszystkich jej znajomych. Zmienił zamki, numer telefonu i zapowiedział, że albo prowadzą normalne życie małżeńskie, albo przytułek. Dzwoniłam do niej do wydawnictwa. Udawała szczęśliwą i zapracowaną. Przeszła natychmiast na francuski. Może było jej łatwiej mizdrzyć się i kłamać w tym języku. „*Ah, ma chčrie*, musimy się kiedyś spotkać. Bla bla bla. Zadzwonię, jestem zapracowana. Bla bla". Chciałam ją spytać o Kołdunowa, o jego małżeństwo. Odłożyłam słuchawkę. Niczego bym się nie dowiedziała. Nie było to zresztą tak ważne. Ważniejsze, że straciłam przyjaciółkę.

Lubię platany. Rosły szpalerem na ulicy Kołdunowa. Wiosną platany przy ulicy Kołdunowa łączyły gałęzie w zielony woal, chroniący przed słońcem. Zimą ostre światło odbijało się od ich białych pni. Nie padał na nie śnieg, lecz mroźny blask paryskiej zimy.

Wróciłam do Kołdunowa po tygodniu. Był przeziębiony. Obie kieszenie ciepłego, watowanego szlafroka wypychały bibułkowe chustki. Wyciągał je z jednej i po obtarciu nosa pakował do drugiej. Posapując, słuchał lektury. Zapłakał? Przesłyszałam się. Chlipnął, dmuchając w

chustkę. Z głębi mieszkania rozległ się jazgotliwy dzwonek. Kołdunow zmartwiał, jakby prąd dzwonka podłączony był do jego krzesła. – Otwórz! – rozkazał. Zanim wstałam, zmienił zdanie. – Czekaj! – zażądał i poczłapał do przedpokoju, zatrzaskując drzwi. Rozmawiał z mężczyzną. Grzecznie, ale tym swoim władczym tonem księcia. Dosłyszałam: „zaginiona". Przyłożyłam ucho do drzwi. Mężczyzna był policjantem. Mówił o jakichś poszukiwaniach, świadkach. Pożegnali się. Wróciłam na swoje miejsce. Rozejrzałam się po salonie. Kilka ikon znikło, pojawiły się nowe. Tylko największa na wprost mnie, ze świętym Jerzym, była tam, gdzie zawsze.

Czytałam dalej fragmenty „Listów z Rosji" de Custine'a, podkreślone czerwoną kredką. Kołdunow pił herbatę. Przyglądał mi się drwiąco.

– Podsłuchiwała? Znam każdy szmer tego mieszkania, od 50 lat. Nie płacę ci za podsłuchiwanie.

– Panowie głośno rozmawiali, nie musiałam podsłuchiwać. Przechadzałam się po pokoju dla rozprostowania nóg.

– I czego się dowiedziała?

Milczałam. Kołdunow nie był rozzłoszczony. Bawił się moim zawstydzeniem.

– Nie wyrzucę cię. Wszyscy jesteście szpicle. Zdegraduję. Spadniesz w hierarchii. Będę mówił „ona", nie „ty". Słyszy, że „ona" jest o wiele dalej od „ja"? A i wygodniej. Nie będę musiał w głowie przekładać z „niech czyta" na „przeczytaj". O innych myśli się „on", „ona", zaś przez szacunek zwraca się na „ty", „wy". Strata czasu. Słyszy? – Kołdunow szczerze się cieszył ze swego wynalazku.

– Może pan mówić do mnie ona. Jednak ja nie będę o sobie mówić „ona", choćby nie wiem jak ułatwiało to panu życie. Nie jestem psem! – palnęłam, zanim pomyślałam. Wyleje mnie, wyleje!

– Nie musi. Niech czyta – usadowił się na kanapie.

Czytałam, litery przelatywały. Bezmyślnie przystawałam na kropkach. Myliłam słowa.

– Wierzy w plotki, że policja mnie ściga za przemyt ikon?

Wzruszyłam ramionami, co mogło oznaczać, że uważam plotki za bzdury, podobnie jak jego pytanie.

– Policjant przyszedł w prywatnej sprawie. Ikony kupuję, sprzedaję, bo się na tym znam. Nic nikomu do tego. Zachód stracił duszę, kiedy stracił ikonę. Teraz kupują, kupują. He, he, duszy nie da się kupić i powiesić na haku. Myślisz, że sprzedałbym najlepsze, najbliższe sercu? – był znowu sobą. Dziwakiem, przejętym swoimi pasjami. Nie oddzielał się ode mnie głupawym „ona". – Nie sądź ludzi po pozorach, panienko. Ja tyję, tyję, obrastam tłuszczem, grzeszną materią. W głębi ducha zaś marzę o umniejszeniu. *Kenoza* – znasz takie słowo? Bóg, przychodząc na świat, umniejszył się, i my odchodząc musimy stać się maluczkimi. Ikona jest przewodnikiem do Nieba. I ja szukam takiej ikony, która mnie tam zaprowadzi umniejszonego.

– Rozumiem. Czy ma pan, Włodzimierzu Dymitrowiczu, taką ikonę? – spojrzałam na deskę ze świętym Jerzym.

– To nie taka. Te na sprzedaż. Moją muszę znaleźć.

Sądziłam, że Kołdunow zmęczył się wyznaniami i chce słuchać lektury. Przerwał mi jednak wpół zdania.

– W monasterze sołowieckim bolszewicy umęczyli mnichów. Tysiące męczenników. Sołowki są Golgotą prawosławia. Tak też było w przepowiedni: „Załóżcie na tej górze monastyr według woli Pana. Spłynie on krwią niewinnych niczym Golgota." W Sołowkach jest niewidzialny Krzyż z Golgoty. Jego relikwią – drzazgi. Te drzazgi – to spalone zapałki, rzucane w kąt przez strażników. Więźniowie robili z nich najmniejsze ikony, innych nie mieli. Chrystus

z poczerniałą głową w czerwonym płaszczu krwi. Taką chciałbym mieć, malowaną krwią męczenników.

– Nie znam się. Wiem tyle, co z pańskich książek, ale jest kanon, prawda? Zapałka nie może być ikoną.

– Widziałaś spaloną zapałkę? Z pochyloną główką? Tak samo pochyla głowę umęczony Chrystus na Krzyżu. On mówi o sobie: „Ja jestem światłością świata i ogniem gorejącym, ofiarą całopalną". Stara „deska" jest czarna od dymu. Zapałka też. Pomalowana ręką umęczonych, ich własną krwią, jest ikoną. Przyjdź jutro rano, to posłuchasz. Spotykamy się w małym kółku: ojciec Michaił z cerkwi Sergiusza, teolog z Instytutu św. Dymitra i jeden człowiek z Rosji, z gułagu.

– Dziękuję bardzo. Nie będę mogła przyjść. Pracuję rano w hotelu.

– W hotelu?

– Zobowiązałam się, nie mogę odmówić.

– Twoja strata. Dowiedziałabyś się ciekawych rzeczy.

– Na pewno. Czy mam przyjść wieczorem, Włodzimierzu Dymitrowiczu? – zegar zardzewiałym kurantem wychrobotał dziewiątą.

– Jak zawsze, jak zawsze.

Mogłam się domyślić. Najcenniejszą kolekcją Kołdunowa były zapałki. Pokazał je któregoś deszczowego wieczora. Wyniósł z sypialni księgę – pudło oprawne w balsę. Przechowywał skarb w domowym sejfie. Uchylił okładkę z wygrawerowanym od środka napisem: „Sąd polega na tym, że światło przyszło na świat. Jn. 3, 19".

W przegródkach leżały zapałki. Spopielałe, na wpół spalone, niektóre malowane. Zmieściłyby się w zwykłym pudełku zapałek. Nie miałam wątpliwości: Kołdunow na starość zbzikował. Do swej fiksacji dorobił teorię. Miał z czego, przeczytał tysiące ksiąg o prawosławiu.

– Niektóre są niemalowane. Nie szkodzi. Trubecki napisał: „Ikona ma kolor kontemplacji".

– Mhm – potwierdziłam bez entuzjazmu, zdając sobie sprawę z absurdu podziwiania patyczków. A jeżeli Kołdunow ze mnie kpi? Złośliwości ekscentrycznego starca. Wyczuł moje wahanie.

– No, nie możesz być ślepa. Pamiętasz *Trójcę* Rublowa? Duch Święty, Bóg Ojciec i Chrystus pod postacią Aniołów. Tu masz to samo – objaśniał teologię zapałki – drzazga-Chrustus, bo umarł na Krzyżu. Łepek to Ojciec – jest głową rodziny, i płomień Ducha Świętego, zesłany na Apostołów. Zapalona zapałka – to *Trójca*, gorejąca w Jedności.

– Któraś jest z Sołowek?

– Dyskutujemy o tym w naszym kółku. Ojciec Michaił ma pewne poszlaki, duchowe. Jest najznamienitszym egzorcystą. Żaden duch mu nie umknie.

– Kiedy będzie miał pewność, przestanie pan szukać? – niepokoiłam się o finanse Kołdunowa. W lutym spóźnił się z wypłatą. Kupował od jakiegoś cwaniaka „maluteńką ikonę, cenniejszą niźli złoto", czyli zapałkę do kolekcji. Zanim nadrobił wydatek, sprzedając prawdziwą starą ikonę, pracowałam za „spasiba".

– Pewność? Pewność jest nie z tego świata. Tutaj możemy mieć wiarę. Z tego świata jest tylko kłamstwo.

– Nie odpowiedział pan. Ja nie jestem wierząca. Jestem logiczna. Czy po odnalezieniu zapałki z sołowieckiego monasteru zamknie pan swoją kolekcję?

– Tłumaczyć się przed tobą nie będę – obruszył się na moją nachalność. – Pospolity umysł nie pojmie mych zamiarów.

– Nawet nie śmiem za panem podążać, książę – opuściłam skromnie oczy. Pracuję u wariata byłam tego pewna. Póki płacą, gram swoją rolę.

Do końca wieczoru czytałam o świętym Grzegorzu Palamosie.

Stało się najgorsze. Przeczuwałam to od dawna. Szaleńcy potrafią żyć za pięciu. Mają nadludzką siłę. Po jej wyczerpaniu padają jednak martwi, rażeni piorunem, zesłanym przez zazdrosnych i sprawiedliwych bogów.

Tego dnia Kołdunow czuł się lepiej. Przeszła mu angina. Nabrał kolorów, co na jego tłustej twarzy przypominało woskowy róż, jakim pociągnięte są policzki świętych z ikon. Dowcipkował, chrupał herbatniczki i nagle się zakrztusił. Zamachał rękoma, zdarł z szyi jedwabny fular. Łapał haustami powietrze. Niewiele się namyślając, podbiegłam i łupnęłam go pięścią w plecy. Złapał się za serce. Drugą ręką szperał po kieszeniach. Wysypał z nich zwitki chustek.

– Moje lekarstwo – wyszeptał blady. Przeszukałam na klęczkach dywan. Może lekarstwo zaplątało się w chustki?

– Nie ma! – panikowałam. Kołdunow się dusił. Jego bezwładna ręka opadła na moje ramię. Podniosłam głowę. Proszącym wzrokiem wskazywał na drzwi sypialni. Zerwałam się z dywanu i wpadłam do niej. W ciemnościach świeciła wieczna lampka. Oświetlała mętnie zdjęcie kobiety i flakoniki lekarstw na stoliku. Ręce latały mi ze strachu. Antybiotyki, coś na kaszel, jest! Nitrogliceryna! Kołdunow tracił przytomność. Ja też nie pamiętam, co było później. Na pewno wlałam mu do ust krople, chyba masowałam siniejące dłonie. Trochę oprzytomniałam i złapałam za telefon.

– Nie trzeba – powiedział cicho, lecz już swoim zwykłym, zdrowym tonem.

– Włodzimierzu Dymitrowiczu, atak serca, trzeba wezwać lekarza!

– Żaden atak. W moim wieku to normalne. Nalej herbaty.

Napędził mi strachu, a teraz, jakby nigdy nic, będzie popijać herbatę!

– Wie pan co? Zamiast się umniejszać duchowo, schudłby pan najpierw. Odtłuścił serce.

– Iiii tam! – kłapnął sztuczną szczęką o filiżankę. Siedzieliśmy w milczeniu. Sądzę, że cieszył się każdą chwilą. Oddychał powoli, głęboko. Smakował konfitury. Tykanie ściennego zegara stawało się melodią mijającego spokojnie czasu.

– Poczytaj Biblię, tam, gdzie zaznaczyłem – zakończył naszą bezczynność.

– *Księga Rodzaju*. Mój Boże, jakiż świat był nieskomplikowanie piękny – Kołdunow swoim zwyczajem wtrącił się do lektury.

– Kto bardziej zgrzeszył: Adam czy Kain? Ojciec czy syn? Bóg powiedział Adamowi: „Nie jedz owocu z drzewa". Kainowi nie powiedział: „Nie zabijaj brata swego".

– Jak się pan ma? Zostać na noc? A jeśli znowu się pan źle poczuje?

– Nie poczuję się źle. Ojciec Michaił już wie, która z ikon jest sołowiecka.

– Widzi pan, Włodzimierzu Dymitrowiczu, przejął się pan, serce po anginie osłabione i nieszczęście gotowe.

Ocuciła go nitrogliceryna, lecz przy życiu trzymała zapałka.

– Nie tym, nie tym. Bóg zesłał mi tę ikonę, a diabeł...

– Co diabeł?

– Dostałem wiadomość z policji – Kołdunow nie potrafił ukryć podniecenia. Błyszczały mu oczy, poczerwieniał. Godzinę temu umierał.

– Widziałam w pana sypialni zdjęcie kobiety – nie powinnam mówić o widzianej przypadkowo fotografii. Ilonka wspominała jakąś nieprzyjemną historię z jego żoną. O innych jego krewnych, rodzinie, nie słyszałam. Skądś znałam twarz ze zdjęcia. Gdzieś ją widziałam, ale gdzie?

– Zdjęcie? Tam jest ikona.

W sypialni nie było czasu na rozglądanie. Szukałam lekarstwa. Z wiecznej lampki jest więcej cieni niż chybotliwego płomienia.

– Przynieś ją – zażądał.

Zapalił halogenową lampę, schowaną za kredensem. W salonie zrobiło się biało. Trzymałam dużą ikonę Matki Boskiej. Deska nie była stara. Farba popękana, sczerniała.

– Widziałaś podobny obraz? – Kołdunow stał przy mnie, opierając się ostół. Drżały mu z osłabienia ręce.

– Na wystawie? W albumie? – dopytywał.

– W hotelu – olśniło mnie. – Włodzimierzu Dymitrowiczu, wydawało mi się. Nie obraz, widziałam podobną kobietę.

– W Paryżu? Matkę Boską? – powątpiewał.

– Tam, gdzie pracuję, w hotelu Ravijac, mieszka podobna kobieta. Wielkie, migdałowe oczy, wąski nos i takie napuchnięte usta.

– Mieszka w hotelu?

– Od roku, z młodszym od niej kochankiem.

Kołdunow wpatrywał się we mnie cierpiętniczo. Szybko wypił nitroglicerynę. Ból ustąpił, rozkurczył napiętą twarz.

– Idź już.

Nie chciałam zostawiać go samego.

– No, idź już – zaprowadził mnie do przedpokoju.

– Może to zawał?

– Myślisz, że mi spieszno do nieba? Mam swoją ikonę. Nie mam tylko świeczuszki. Po ciemku nie pójdę. Jeszcze bym zabłądził – żartował. Poczuł się lepiej, bo bredził po swojemu: – Pamiętasz, co mi czytałaś u Bułgakowa? „Wieczną świecą jest Matka Boża, przyjmująca światło Pana".

– Proszę, zostanę.

– A poszła – wypchnął mnie brzuchem za drzwi.

Powinnam była zostać. Nie umarłby tej nocy.

Rano poszłam do hotelu. Miała być praca. Hotelu nie było. Spłonął w nocy. Przyjechała policja i pompierzy. Wezwali właściciela. Minął mnie wóz policyjny, wieźli na komisariat recepcjonistę. Ludzie mówili, że nikt nie zginął, tylko podpalacz. Z rumowiska wystawały żarzące się belki.

Usiadłam na chodniku i nie mogłam się ruszyć. Iskry, opadające z wypalonych okien na ulicę, zaplatały się w moje włosy, w mój umysł. Rozświetliła go wizja prawdy. Krzyczałam. Wykrzyczałam wszystko. Wtedy przywieźli mnie tutaj. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Proszę bardzo, mogę powtórzyć zeznania. Nie zabiłam Józefa Czapskiego. Zróbcie ekshumację. Nie dolałam mu trucizny do koniaku. Nie miałam żadnych powodów. Po co? Gdyby Czapski żył, nie musiałabym szukać nowej pracy. Potrzebowałam pieniędzy, nie zemsty na jego gospodyni.

Nie zabiłam Włodzimierza Kołdunowa, był chory na serce. Nie spaliłam jego zwłok w hotelu Ravijac. Pierwsza je rozpoznałam. W ustach miał osmaloną gumę do żucia, balonówę. Tak najpierw myślałam. To była nadtopiona sztuczna szczęka. Różowe bąble ściekającego plastiku. Sygnet na palcu, trzymającym zapałkę, od której niby zapalił się hotel. Zapałki nie znajdziecie, spłonęła. Ja natomiast pamiętam gest Kołdunowa, trzymającego tę swoją zapałczaną ikonę. Tak z nią umarł, ściskając zapałką.

Sam tam przyszedł po swoją żonę – Matkę Boską. Nie ja podpaliłam hotel. Cieszę się, że pani Kołdunow oraz syn Kołdunowa odziedziczą majątek po księciu Włodzimierzu. Mimo, że o ile wiem, zapisał go Cerkwi i na odnowienie monasteru w Sołowkach. Nie śledziłam pani Kołdunow i jej pasierba. Dostałam adres hotelu od Ilonki. Ona też poleciła mnie księciu. Nie wiem, gdzie przeprowadziła się Ilonka. Po ślubie zerwała z przyjaciółmi. Jej mąż jest inżynierem. Kończy budować tunel pod La Manche. Tam ich szukajcie. Uciekli z Paryża. Byli na

pewno w zmowie z Kołdunową. Zaplanowali, że sprowadzę księcia do hotelu, a oni zabiją go i spalą. Wiedzieli, że bawił się zapałkami i da się na niego zwalić winę za pożar. Hotel był stary, samo próchno. To księżna zabiła księcia w hotelu i jej kochanek, to znaczy jego syn. Albo i nie zabili, pękło mu serce na ich widok. To także przewidzieli. Włodzimierz Dymitrowicz przyniósł do hotelu swoją ikonę i zapałki. Wiedział, że księżna do niego nie wróci. Modlił się do niej, wymalowanej na ikonie. Była jego Matką Boską, a Matka Boska jest świecą, przyjmującą ogień Pana, tak napisano. *Monsieur Koldunov* chciał ją pewnie spalić. Oczyścić z grzechu i uwolnić siebie. Przecież to logiczne. Po co miałabym podpalać hotel, zabijać Kołdunowa i pozbawiać się obydwu prac? Owszem, jest mi tu dobrze. Izolatka jest większa od mojego paryskiego pokoju. Jedzenie smaczne, karmią regularnie. Płaci za mnie opieka społeczna. Zamiast prozaku dostaję serię elektrowstrząsów. Prąd jest tańszy od leków. Wiem, że jestem na obserwacji i wszystko, co mówię czy piszę, przekażecie dalej, wyżej. Dlatego, korzystając z okazji, wspomnijcie, proszę, żeby produkowali okrągłe odkurzacze. Ile ja się namęczyłam w hotelu. Odkurzacz zaczepiał o drzwi i meble, a waży parę kilo. Okrągły się toczy, nie zaczepia.

Spis treści

SANDRA K.
LATIN LOVER
NAMIĘTNIK
MUR
IKONA